

ODRODZENIE

TYGODNIK

Cena 20 zł

W numerze:
CZESŁAW MIŁOSZ — Wiersze
M. PODKOWIŃSKI — Niemcy po dwu latach
ST. WYGODZKI — Nazwisko

Rok V — Warszawa, dnia 11 stycznia 1948 r. — Nr 2 (163)

ZDZISŁAW HIEROWSKI

Wśród czeskich czasopism literackich

Jeśli sie porówna czeską i polską prasę literacką już na pierwszy rzut oka widać poważne różnice. Przede wszystkim zwraca uwagę fakt, że pisma o literacko-artystycznym charakterze nie wychodzą w Czechosłowacji jako tygodniki, jak to jest przeważnie u nas, lecz jako miesięczniki i dwumiesięczniki, przy czym niektóre z nich zawieszają działalność na dwa miesiące letnie, lipiec i sierpień. Kolportaż tych czasopism opiera się na prenumeratorach, a nie na bieżącej kioskowej sprzedaży, która jest niewielka. Według prenumeraty regulowany jest nakład czasopism, przy czym zaprenumerować można także za pośrednictwem punktów sprzedaży.

Istotna różnica leży w tym, że owe miesięczniki i dwumiesięczniki mają niemal czysto literacko-artystyczny charakter. Sprawy społeczno-polityczne nie dochodzą w nich do głosu prawie wcale lub tylko o tyle, o ile łączą się z zagadnieniami sztuki i kultury, jak np. w dyskusji o realizmie socjalistycznym. To nadaje tym czasopismom charakter eklektyczny, który szczególnie uderza w dwóch periodykach wydawnictwa ELK.

Sprawom społeczno-politycznym służą liczne tygodniki, w których zagadnienia literatury, sztuki, teatru i kultury w ogóle są stosunkowo szeroko uwzględniane; istnieją tam także pisma typu u nas dotychczas nieznanego. Są to tygodniki popularne, drukowane na papierze gazetowym, obliczone na szeroką sprzedaż a poświęcone zagadnieniom kultury. Pismem tego typu jest tygodnik **„Kulturni Politika"** i tygodnik **„Lidová Kultura"**, poświęcony sztuce, nauce i zagadnieniom świata pracy. Co więcej, zespół stowarzyszeń kulturalnych wydaje własny, dobrze redagowany dziennik **„Svobodné Slovo"**. Dodajmy jeszcze fakt, naszej prasie codziennej niemal nieznany, ukazywania się w każdym poważniejszym dzienniku stałego działu kulturalnego, któremu poświęca się przynajmniej ćwierć a na ogół pół kolumny.

Wszystkie czeskie pisma literackie związane są organizacyjnie z wielkimi firmami wydawniczymi. Czołowe miejsce wśród nich zajmują dwa miesięczniki: **„Kytice"**, organ wydawnictwa „Prace", i **„Kritycky Miesicznik"**, organ wydawnictwa Fr. Borovy, obydwa wychodzące w Pradze.

„Kytice" bierze swą nazwę od tytułu zbioru poezji jednego z wybitnych romantyków czeskich Karola Jaromira Erbena (1811—1870. „Kytice z povesti narodnich", po polsku: bukiet, wiązanka). Redaguje jeden z najwybitniejszych poetów współczesnej Czechosłowacji, mający za sobą już długi i poważny dorobek z okresu międzywojennego dwudziestolecia, **Jaroslav Seifert**.

„Kytice" powięcona jest przede wszystkim poezji i prozie oryginalnej. Krytyka literacka stoi zasadniczo na dalszym nieco planie, a obok niej pojawiają się również zagadnienia historyczno-literackie, związane z niedaleką, żywą jeszcze przeszłością literacką. Osobne miejsce zajmują sprawy sztuki. Każdy zeszyt przynosi w tym dziale kilkanaście jednobarwnych reprodukcji całostronicowych lub w tekście, przy czym najczęściej pochodzą one od jednego artysty, któremu w dalszej części zeszytu poświęcony jest specjalny artykulik krytyczny. W dziale poezji i prozy spotykamy nazwiska wybitnych pisarzy wszystkich ugrupowań artystycznych i ideowych średniego i młodszego pokolenia. Zwraca uwagę duża ilość nazwisk nowych, należących do pisarzy najmłodszych. Zwłaszcza w dziedzinie poezji daje „Kytice" przegląd czeskiej liryki współczesnej. Drukowana tu proza należy do najlepszej we współczesnej literaturze czeskiej; jest to proza typu psychologicznego, często nowatorska i eksperymentalna, nosząca zawsze cechy oryginalności. Wystarczy wymienić takie nazwiska jak Jan Drda, Egon Rostovsky, Miroslav Hanusz, Vaclav Rzezacz, Jerzy Weil, Jaromir John, Miloslav Nohejl. Z literatur obcych „Kytice" szczególną uwagę poświęca literaturom narodów słowiańskich. Dużo miejsca zajmują sprawy literatury rosyjskiej. Dwa specjalne numery rocznika 1947 zostały poświęcone literaturze polskiej i bułgarskiej. W dziale krytycznym spotyka się również wiele wybitnych nazwisk przy szerokim wachlarzu tematyki. Obszerny i cenny jest dział notatek krytycznych, dających wiele ciekawych informacji. „Kytice" odznacza się piękną szatą graficzną, pod każdym względem godną pisma o charakterze literacko-artystycznym.

„Kritycky Miesicznik" redaguje prof. dr **Wacław Czerny**, najwybitniejszy krytyk literacki po śmierci F. X. Szaldy, wychowawcy kilku pokoleń literackich (zmarłego w r. 1937), uważany za jego następcę i kontynuatora. Indywidualność i temperament Czernego nadaje ton całemu pismu, które też często, choć z umiarem, polemizuje z krytyką marksistowską. „Miesięcznik" poza essayem i krytyką drukuje jeszcze tylko poezje, skupiając w tym dziale znów wszystkich niemal wybitniejszych poetów. Czołowym krytykiem i essayistą pisma jest sam Czerny, obok którego zabierają jednak głos liczni inni krytycy z różnych obozów i ugrupowań, nawet z tych, z którymi redaktor polemizuje. Pismo daje najszerszy przegląd krytyczny współczesnej literatury czeskiej, poważna bowiem część zeszytu obejmującego 50 stron formatu naszej „Twórczości" poświęcona jest recenzjom poezji, prozy i essayu. Zainteresowania literaturami obcymi kierują Czernego zgodnie z tradycją Szaldy głównie ku literaturom Zachodu.

Osobne miejsce w czeskim czasopiśmiennictwie literackim zajmują periodyki wydawane przez firmy nakładowe, opierające się na zorganizowanym czytelniku, czyli będące wielkimi odpowiednikami Klubu „Odrodzenia". Jedną z poważnych firm wydawniczych tego typu jest praski ELK, liczący około 40.000 członków i rozwijający szeroką działalność nakładową. Wydawnictwo to ma dwa czasopisma literackie, miesięczniki **„Rust"** (Rozwój) i **„Literarni Noviny"**, które w roku ubiegłym ukazywały się w podwójnych numerach co dwa miesiące. Obydwa są dobrze redagowanymi magazynami literackimi, przy czym „Rust" jest bardziej popularny i chyba świetnie spełnia rolę czasopisma dla przeciętnego czytelnika, interesującego się sprawami literatury, teatru, książki, filmu i sztuki. Redaktorem „Rustu" jest znany powieściopisarz czeski **Karel Matiej Benesz**, przy czym poszczególne działy pisma posiadają osobnych redaktorów-specjalistów. Pismo redagowane jest żywo, przynosi interesujące ankiety, wywiady i reportaże, drukowane jest przy tym na świetnym papierze, który pozwala na zastosowanie efektownych okładek i bogatego materiału ilustracyjnego. „Literarni Noviny" są również przystępne, choć reprezentują wyższy poziom. Przynoszą więcej poezji i prozy, więcej krytyki i historii literatury, więcej przekładów z literatur zachodnich i słowiańskich, nie zaniedbują jednak również teatru i filmu. Zwracają uwagę liczne artykuły informacyjno-krytyczne o literaturach obcych: norweskiej, holenderskiej, belgijskiej, radzieckiej, szwedzkiej, bułgarskiej, jugosłowiańskiej. „Noviny" redagują krytyk **Miloslav Novotny** oraz prozaik, tłumacz i popularyzator literatury radzieckiej **Jerzy Weil**.

Z podobną instytucją wydawniczą związany jest miesięcznik **„Kolo"**, wydawany w Brnie przez spółdzielnię wydawniczą pisarzy i czytelników przy Morawskim Kole Literatów. Spółdzielnia liczy około 9000 członków-czytelników i 150 członków-literatów, organizuje przy tym na wielką skalę Klub Młodych Czytelników. „Kolo" redaguje poeta **Jaroslav Neczas**; ma ono dotychczas charakter głównie reklamowy. Część literacko-krytyczna jest na razie skąpa. Krytykę reprezentuje głównie **Vladimir Stupka**, w dziale poezji i prozy ukazują się przede wszystkim fragmenty książek zapowiedzianych przez wydawnictwo. Z nowym rokiem część reklamowa zostanie wyodrębniona, a na plan pierwszy wysunie się część literacka, która zmieni wygląd czasopisma.

Z innych czasopism literackich godny jest uwagi dwumiesięcznik **„Kvart"**, poświęcony poezji i prozie, w którego komitecie redakcyjnym zasiadają m. i. **Františzek Halas, Vl. Holan, Františzek Hrubin**. Jest to jeszcze jedno czasopismo eklektyczne na wysokim poziomie, drukujące obfity materiał z poezji i prozy czeskiej i obcej.

Na kartach wszystkich tych pism spotykamy nazwiska tych samych autorów i niemal wszystkie one wzajemnie się reklamują i polecają. Jedynie polemiki świadczą, że ów literacki „pokój boży" jest tylko pozorny, że we współczesnej literaturze czeskiej ścierają się kierunki ideowe i artystyczne, że jest walka o socjalistyczny realizm w prozie, że są różne ugrupowania poetyckie, których nie zna nasza powojenna poezja.

Zdzisław Hierowski

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

Thomas Wolfe

Literatura międzywojenna w Ameryce, w okresie między 1920 — 1940, osiąga niezwykle wysoki poziom i wydaje szereg wybitnych indywidualności. Europa po minionym kataklizmie dziejowym zaczyna się pilnie przyglądać ruchowi umysłowemu USA — i ulegać wpływowi znamienitej grupy pisarzy amerykańskich. Wydaje się, że ta grupa ośmiu pisarzy: John Dos Passos, Hemingway, Faulkner, Caldwell, Steinbeck, James Farrell, John Marquand i Thomas Wolfe (pomijamy już Henry Millera, Richarda Wrighta, Alberta Maltza, Saroyana lub Fasta) odgrywa dziś tę samą rolę, co sto lat temu: Emerson, Longfellow, Hawthorn, Melvill i Whitman — którzy zapoczątkowali rozkwit myśli twórczej po drugiej stronie Oceanu.

Każdy z tych pisarzy ma swoją problematykę, środowisko i odrębny styl.

Dos Passos zaczął od doświadczeń żołnierskich pierwszej wojny. W „Trzech żołnierzach Ameryki" (1921) dał wyraz krytycznym poglądom prostego szeregowca na imprezy podżegaczy wojennych. W „Manhattan Transfer" (1925) ukazał działalność świata businessu w metropolii amerykańskiej w ciągu lat 1890 — 1925. W wielkiej trylogii „USA" (1930-1936) usiłuje autor wypełnić to samo zadanie, ale już w zakresie obejmującym nie jedno miasto, lecz cały kraj: ukazać na kilkudziesięciu sylwetkach aktualną kronikę materialnej i duchowej problematyki Stanów. Przegląd wypada negatywnie, lecz pisarz nie wskazuje drogi wyjścia z politycznego i ustrojowego impasu. Również w „The Adventures of a Young Man" (1939) nie zdobywa się Dos Passos na nic więcej ponad krytykę polityki partyjnej, w związkach zawodowych, które przecie w ustroju kapitalistycznym USA są jedyną siłą zdolną do wywołania radykalnych zmian. Olbrzymie panoramy roztaczane przez Dos Passosa przed oczyma czytelnika są doskonałym studium stosunków amerykańskich dla Europejczyka, ale nie zadowalają artystycznie, gdyż robią wrażenie chaosu, ani ideologicznie, gdyż świadczą, że autor tkwi zbyt głęboko w tradycji i fałszywym liberalizmie.

Oblicze Hemingwaya, Faulknera, Caldwella i Steinbecka jest wyraźniejsze: atakują rzeczywistość amerykańską w dziełach pełnych precyzji, obserwacji i okrutnego realizmu. Przyswoili sobie rzemiosło literackie powieści europejskiej, wyłączyli z niej nadmiar psychologizmu, kładąc nacisk na realistyczną stronę opisu. Uniknęli przy tym balastu elementu publicystycznego, co było słabą stroną pisarzy amerykańskich pierwszego dwudziestolecia XX wieku.

James T. Farrell różni się od tej grupy swoim chicagoskim środowiskiem, z którym związany jest przez urodzenie, przez pochodzenie (z rodziny irlandzkiej) i studia uniwersyteckie. W kilkunastu powieściach maluje nędzę materialną i moralną nizin społecznych. Trzy tomy „Studs-Lonigana", dotyczące rodziny O'Flahertych i O'Neillów — to beznadziejna epopeja cierpienia i występku, tragedii i załamań się dzieci, które z powodu zbyt trudnych warunków nie mogą się rozwinąć normalnie i stać zdrowymi i zadowolonymi ludźmi. Ciężkie przejścia własnej młodości trzymają Farrella w zaklętym kręgu chicagoskiej ulicy, jej tawern, sal bilardowych i domów publicznych. Jest to ponury obraz bytu i kultury szerokich mas proletariatu amerykańskiego.

Również Thomasa Wolfe'a (1900 — 1938) jedynego nieżyjącego już spośród wybitnych pisarzy międzynarodowej literatury amerykańskiej, pochłaniają sprawy psychiki młodocianego Amerykanina. Losy Wolfe'a i jego twórczości zasługują na większą uwagę.

Przyszedł na świat w roku 1900 w Asheville (Stany Południowe), miejscowości górskiej rozwijającej się w centrale klimatyczno-kuracyjną. Miał wielkie ambicje poetyckie, pragnął ogarnąć i wyrazić piękno kultury amerykańskiej i europejskiej. Wytworzył sobie własny styl. W czterech olbrzymich powieściach - poematach utrwalił dzieje swego rozwoju. Pogrążony chorobliwie w przeżyciach własnej jaźni, notujący skrzętnie jej reakcje na coraz nowe zewnętrzne doznania, był tytanem i męczennikiem kronikarskich notat, kreślonych na marginesie przeżyć, podróży i przygód. Najmniej krytyczny, najmniej higienicznie pracujący pisarz — Amerykanin, według niektórych prawdziwy Whitman XX wieku, piszący poetyczną prozą, pogrobowiec Shelleya i Keatsa.

Zostawił w puściźnie literackiej cztery olbrzymie powieści - monstre, jakby cztery wielkie pamiętniki autobiograficzne, a prócz tego „The Story of a Novel", rozbrajająco naiwny, nie zawsze autokrytyczny klucz do jego twórczości.

Dysharmonię psychiczną swej jaźni wywodzi Wolfe z obciążenia dziedzicznego. Matka jego była kobietą chciwą, która rychło porzuciła zawód nauczycielski, aby zająć się bardziej intratnym prowadzeniem pensjonatu oraz skupywaniem działek gruntowych w rozwijającej się szybko osadzie. Ojciec był rzeźbiarzem nagrobków, dla którego istniała jedynie poezja, szynk, śpiewy i przygody miłosne. W „Look Homeward, Angel" (1929) poznajemy ze wszystkimi szczegółami ten świat. Odtworzył go z taką wiernością, że po ukazaniu się książki groziło autorowi zlynchowanie. Jedna z pań przestrzegła go zawczasu, że gdyby się pojawił u nich, to z radością zobaczy jego ciało wleczone po rynku miasta. Eugene Grant — bo pod tym kryptonimem uwiecznił się autor — z odrazą patrzy na ataki drapieżnej matki na pijanego małżonka, z zachwytem wsłuchuje się w deklamacje ojca, który obdarzony jest niepospolitą pamięcią i całymi godzinami wyrzuca z siebie wiersze Szekspira, Miltona i Graya. Stoi po stronie ojca, naśladuje go w jego zamiłowaniu do poezji, czyta wszystko, co mu wpadnie do rąk, chodzi do prywatnej szkoły średniej, zarobkuje sprzedażą gazet w dzielnicy murzyńskiej, obserwuje upadek i wyzysk czarnego proletariatu przez białych. Mając lat piętnaście wstępuje na uniwersytet stanowy w północnej Karolinie, czuje się źle w tym snobistycznym świecie, rekrutującym się ze sfer zamożnych, przeżywa przygody miłosne i odczuwa głęboko tragiczną śmierć brata.

W drugiej części powieści „Of Time and the River" (1935) Eugene Grant - Wolfe studiuje na uniwerstytecie Harvard w Bostonie, gdzie pod kierownictwem prof. Hachera przygotowuje się do zawodu dramaturga. Przyjaźń z jego asystentem Francis Starwickiem prowadzi go w świat piękna i wytwornych obyczajów. Pogrzeb ojca i rozpacz po odrzuceniu przez wydawców prób dramatycznych wtrącają go w przygnębienie. Karkołomna wycieczka z grupą kolegów kończy się pijatyką i uwięzieniem przez policję.

Otrzymuje dyplom w wieku lat 24, po czym zostaje nauczycielem języków przy uniwersytecie nowojorskim. Korzysta z możności wyjazdu do Paryża, razem ze Starwickiem i dwiema koleżankami. Stąd udaje się do Londynu. W Chelsea, w podnajętych pokojach, odciąwszy się od świata, oddaje się w zupełności pracy twórczej. W roku 1926 powstaje to, co ukazać się miało w roku 1929 jako pierwsza powieść — „Look Homeward, Angel".

Z dziennika poety dowiadujemy się, jak ciężkie były narodziny tej książki. Obdarzony — jak ojciec — olbrzymią pamięcią, Wolfe nie umiał się od niej wyzwolić. Przez szereg miesięcy w Londynie w r. 1926, a później w New Yorku, spisywał wszystko, co widział i przeżył. Powstała olbrzymia masa nieuporządkowanego artystycznie materiału, którego nie odważył się ogłosić żaden wydawca. Dopiero życzliwość jednego z przyjaciół, Maxwella Perkinsa, który razem z autorem w przeciągu ośmiu miesięcy przeprowadził proces analizy i surowej selekcji, doprowadziła utwór do postaci, w jakiej mógł pójść do druku. Chociaż krytyka zarzucała utworowi brak konstrukcji, chociaż otoczenie i znajomi gorszyli się obnażaniem stosunków rodzinnego miasta, ogół czytelników poddawał się urokowi stylu pełnego siły i plastyki. Utarło się zdanie, że nie ma pośród żyjących pisarzy amerykańskich tak bujnej wyobraźni, takiej potoczystości zdań, takiego ich bogactwa jak u Wolfe'a. — Najpoetyczniejszy z prozatorów — to określenie miało mu odtąd towarzyszyć do końca.

By zatrzeć poszlaki autobiograficzne, Wolfe zmienił w następnych dwóch powieściach nazwisko Eugene Granta na Georga Webbera, który występuje w „The Web and the Rock" (1939) i „You Cant go Home Again" (1940). Jest Jest to właściwie druga wersja autobiografii z innymi szczegółami, wzbogacona o doświadczenia po roku 1929. Życie Wolfe'a ułożyło się teraz dość interesująco. Syn drobnomieszczańskiej rodziny nie musiał nigdy pracować fizycznie, miał środki na wyjazd do Europy już w roku 1926. Honoraria za pierwszą powieść, a miała ona duże powodzenie, i roczne stypendium z fundacji Guggenheima — pozwoliły mu opuścić posadę instruktora na uniwersytecie. Udał się w drugą wielką podróż po Europie, w której, jako dość rzadki w USA typ intelektualisty, znalazł silne podniety do twórczości. Z Paryża robi wypad do Szwajcarii i Niemiec.

Po powrocie do New Yorku na parę lat osiedla się w dzielnicy robotniczej, w części zamieszkiwanej przez mieszkańców Wschodu. Powstają nowe gigantyczne foliały autobiograficzne, które z pomocą Perkinsa nabierają zwolna kształtu powieści.

W „The Web and the Rock" ukazują się znowu obrazy dzieciństwa z Asheville (nazwanego tym razem nie Altamont, lecz Libya Hill) pełne sylwetek i scen z epoki wojny secesyjnej. Na plan pierwszy wysuwa się Esthera Jack, wybitna intelektualistka, artystka graficzka teatrów nowojorskich, która wprowadza George'a Webbera w świat nowojorskiej arystokracji. Skomplikowane obyczaje tej sfery, zazdrość i bunt młodzieńca w fałszywej sytuacji zajmują wiele miejsca w opowiadaniu. Niezwykła wrażliwość bohatera wyolbrzymia świat rzeczywisty, własne cierpienia i cierpienia innych, pobudzając poetę do namiętnych i niepowściągliwych tyrad.

„You Can't go Home Again" — druga część dziejów George'a Webbera, to jakby zakończenie poszukiwań i wędrówek autora, który odsuwa się od świata burżuazji amerykańskiej, reprezentowanej przez Estherę Jack, jej męża i krąg ich leniwych nieproduktywnych znajomych. Uznanie wydawców i czytelników, sława i popularność w Anglii i Niemczech skłaniają go do decyzji zerwania z egotyzmem i poświęcenia większej uwagi szerokim masom swego kraju. Doświadczenia wyniesione z pobytu w Niemczech, gdzie szaleje terror, kierują jego myśl ku rzeczywistości amerykańskiej, od roku 1929 przejawiającej groźne symptomy kryzysu gospodarczego. Depresja ekonomiczna w Libya Hill zniszczyła materialnie jego znajomych i krewnych. Po masowych samobójstwach zrujnowanych ludzi dochodzi do przekonania, że powodem tego jest brak zainteresowań i treści wewnętrznej u jego rodaków. W podniosłych scenach końcowych George Webber rzuca proroczę inwektywy pod adresem pustej, jałowej demokracji swej ojczyzny i żąda radykalnego przestawienia jej na inne tory. Zakochany w sobie Narcyz zmienia się w społecznika, reformatora, zbuntowanego oskarżyciela.

Książki te ukazały się dopiero w dwa lata po śmierci autora. W lipcu 1938, Wolfe, człowiek o niewyczerpanej zdawałoby się fizycznej energii, zapada na influenzę. Podczas rekonwalescencji wywiązały się komplikacje i we wrześniu pisarz zmarł na zapalenie mózgu. Jego ciało przewieziono do Asheville i pochowano na cmentarzu, na którym stoją rzeźby jego ojca. Od tych postaci zaczerpnął tytuł pierwszej swojej powieści; „Look Homeward, Angel". Do nich też nawiązuje tytuł powieści ostatniej: „You Can't go Home Again", w której Wolfe wskazuje konieczność służby dla ludzkości. Zrozumieli go przyjaciele umieszczając na grobie własne jego słowa: „Śmierć pochyliła się nad nim z miłością, łaską i żalem i dotknęła skroni swego wybrańca, kładąc na nich wieniec chwały w chwili, kiedy schodził z tego świata".

Obserwator o bardzo żywej wrażliwosci sensualistycznej, talent odtwarzający niemal samorzutnie wszystkie spostrzeżenia, niezdolny do selekcji i uporządkowania materiału — stworzył Wolfe ogromny cykl powieściowy. Z chwilą ukazania się jego ostatniej części z czasów kryzysu 1929 r. — skrystalizował się wyraźnie sens tej powodzi obrazów i scen: głęboko negatywna postawa wobec rzeczywistości amerykańskiej.

Wśród szeregu świetnych charakterystyk i sylwetek ze wszystkich środowisk — ośrodkiem konstrukcji jest pielgrzymka przez życie wrażliwej i głęboko czującej jednostki: Granta — Webbera — Wolfe'a.

W powieściach Wolfe'a nie należy szukać intrygi, techniki konstrukcji czy szablonów fikcji — należy szukać postaci, scen natury, patosu i nastroju. A jeszcze bardziej melodii słowa, wyrafinowanej prostoty określeń, subtelnych niuansów, odczuwanych dotykiem, widzianych oczami, słyszanych uszami. Jego potoczystą prozę przyrównywano do muzyki Wagnera, Straussa i Czajkowskiego. Przebaczano mu nawet rytm, w jaki wpadał budując okresy zdań według wyraźnych kadencji. Pozostał w pamięci jako tragiczna postać, która odeszła w chwili, kiedy była bliska artystycznej dojrzałości.

Stanisław Helsztyński

JULIAN PRZYBOŚ

List ze Szwajcarii

Doznaję gór — objawienia planety na ziemi —
dotykam szczytu, jak dna — gdyby runął — księżyca,
wysokość padła,
pode mną świeci lodowiec — obalonej przestrzeni
polarna gwiazda —.

Ty, rękami uwięzły
w odgruzowanych ulicach,
z pyłem z wież pod powieką!

Twój list — przestrzał oddali — szerzy nowy świat lekko:
toczysz taczkę cegieł — rzeczywistość.

Stoją domki jak wyjęte ze łzy
nad wodą wielką i czystą.



Z pobytu literatów polskich w Moskwie: siedzą od lewej: Paweł Ettinger, Leon Kruczkowski, Zofia Nałkowska, ambasador Marian Naszkowski, St. R. Dobrowolski; stoją od lewej: Karol Kuryluk, J. Ozga - Michalski, Seweryn Pollak, Ziemowit Fedecki, Wojciech Żukrowski, Jan Kott i Samuel Fiszman

STANISŁAW GOGŁUSKA

ŻYCIE LITERACKIE WE FRANCJI

KONKURS NA BOHATERA POWIEŚCIOWEGO

„Les Nouvelles Littéraires" ogłosiły wyniki konkursu, rozpisanego wśród czytelników w lecie bieżącego roku na temat: „Jakiego bohatera powieściowego pragnąłby pan(i) uosabiać i dlaczego?"

20 proc czytelników wymieniło Robinsona Cruzoe. Po nim idzie tytułowy bohater powieści Alain Fourniera — „Le Grand Meaulnes", na dalszym zaś planie ex aequo d'Artagnan i Julien Sorel. Redakcja pisma wyciąga z tego wniosek, że czytelnik dzisiejszy szuka w literaturze „ucieczki" od życia rzeczywistego. Nie wiem, czy nie wypadałoby tego wniosku skorygować, gdyby w konkursie mogli wypowiedzieć się nie tylko czytelnicy pism literackich, interesujący się szczególnie literaturą i kupujący te pisma, ale i człowiek pracy. W tej chwili konkurs daje wyraz pragnieniom i upodobaniom tylko publiczności „inteligenckiej".

Komentując wyniki konkursu, czołowy krytyk „Les Nouvelles Littéraires" Raymond Las Vergnas pisze o aktualności Robinsona. Zdaniem jego czytelnik szuka symbolu życia prostego i szczęśliwego, „bez podatków systemu kartkowego i cieniów groźby wojny atomowej". Wielu czytelników w swoich wypowiedziach mówiło o „drzwiach otwartych na przygodę". Komentator zwraca uwagę na to, że w powieści Defoego w ciągu lat 23 nic się nie dzieje. Książka ta daje natomiast coś innego: przeżycie dzieciństwa i jego świata. Robinson „jest biblią gestu, biblią narzędzia. Z nim odżywa epopeja pracy".

NIEZNANE POEMATY APOLLINAIRE'A

U Pierre'a Cailler w Genewie ukazał się zbiorek poezji Apollinaire'a, zawierający poematy dotychczas nie wydane. Ten nowy tom poezji wielkiego poety nosi tytuł „Ombre de mon amour" (Cień mojej miłości).

Utwory te pisał Apollinaire w roku 1915 podczas pobytu w oficerskiej szkole artylerii w Nîmes. Zrodziła je wielka miłość poety do Lou. Tę, którą raz nazywa „Lou", to znowu „Ombre de mon amour", poznał Apollinaire w Nicei we wrześniu 1914 roku. W pierwszych miesiącach pierwszej wojny światowej, kiedy zastanawiał się nad tym, co ma robić. Ostatecznie, jak wiemy, nie przyjął on gościny u swoich przyjaciół w Hiszpanii i wstąpił ochotniczo do armii francuskiej. Z Nicei odjechał bez pożegnania do pułku w Nîmes. Za nim podążyła Lou. Jednakże nigdy nie doszło do trwałego porozumienia między kochankami. Była to miłość burzliwa, namiętna, pełna zgrzytów i nieporozumień. Poeta, który wkładał w nią całą swą pasję, przeżywał rozdarcie wewnętrzne i bardzo cierpiał. Kiedy pozostał w Nîmes osamotniony, przeżycia swoje przetopił w formę poematów - listów, które codziennie niemal wysyłał do Lou. Znajduje w nich wyraz typowy dla Apollinaire'a erotyzm. Wydawca wiele drastyczniejszych wyrażeń w obecnej edycji wykropkował. Ale tematyka tych poezji jest rozleglejsza, są tu bowiem także przeżycia wojskowe i wojenne: apel wieczorny, lamenty trąbki wojskowej, konwoje, wybuchy rakiet i pocisków, rów strzelecki.

Zbiorek zawiera siedemdziesiąt utworów Apollinaire'a. Dotychczas znajdowały się one w wyłącznym posiadaniu pani L. de C., nazywanej przez poetę Lou. Poza nią znane były jeszcze kilku osobom. Tylko kilka utworów z tego zbiorku opublikował André Rouveyre we wspomnieniach o Apollinairze. Kilka innych weszło do zbiorku „Caligrammes". Na parę miesięcy przed śmiercią Apollinaire zamierzał wydać te poematy w osobnym tomie i zażądał ich zwrotu od Lou. Jednakże nigdy do tego nie doszło. Wokół poematów krążyła legenda. W studiach o twórczości tego poety mówiono o nich na słowo. Podkreślano, że te utwory z okresu wojny są szczytowym osiągnięciem w jego twórczości. Opublikowanie ich za zgodą żyjącej jeszcze Lou jest wielkim wydarzeniem literackim. Krytyka francuska podkreśla znaczenie tego wydarzenia i uważa zbiorek „Ombre de mon amour" za jeden z najpiękniejszych tomów poezji francuskiej. W trzydzieści niemal lat po śmierci Apollinaire'a — zmarł 9 listopada 1918 — utwory te zostały udostępnione szerokiej publiczności.

Poematy Apollinaire'a w tym pierwszym wydaniu genewskim poprzedzone są wstępem i zaopatrzone w przypisy i wyjaśnienia, dotyczące rękopisu. Znajdujemy tu także rysunek Picassa, który był przyjacielem poety, przedstawiający Apollinaire'a - artylerzystę. U dołu znajduje się napis: „Guillaume de Kostrowitzky, artilleur. 1914".

ZMARŁ LEON-PAUL FARGUE

Stara generacja pisarzy francuskich powoli wymiera. Po Giraudoux i Valérym odszedł Fargue. Ten ceniony we Francji i stawiany nawet obok Supervielle'a poeta zmarł 24 listopada 1947. Ostatnie 4 lata spędził w łóżku, do którego przykuła go choroba. Jednak działalności pisarskiej nie zaprzestał. Pisał do ostatnich niemal chwil. Na kilka zaledwie dni przed śmiercią ukazał się jego artykuł ze wspomnieniami o tegorocznym laureacie Nobla, André Gide. Ostatni swój tekst, przeznaczony do tygodniowej audycji radiowej, ukończył tuż przed śmiercią. Goniec radia, który przybył po tekst, odkrył śmierć poety. Zmarł niespodziewanie, we śnie. Nad jego grobem przemawiali: prezes francuskiego związku literatów, Gérard Baüer oraz Jules Romains, niedawny kontrkandydat Fargue'a do Akademii Francuskiej.

Puścizna literacka Fargue'a składa się z 15 tomów. Są w niej przede wszystkim utwory poetyckie, odznaczające się wielką obrazowością. Jednym z ulubionych środków poetyckich Fargue'a jest metafora. W poematach młodzieńczych i w utworach ostatnich rozbrzmiewa nuta skargi i bólu. Odnowił on tradycję literacką średniowiecznej poezji makaronicznej i groteskowej w języku łacińskim. Oczywiście przejął od niej tematykę i formę, nie język. Poezja jego odznacza się na ogół naturalnością, prostotą i muzykalnością. Częstym tematem jego twórczości jest Paryż, a zwłaszcza noc paryska. Krytyka francuska nazywa go „paryżaninem", „niestrudzonym spacerowiczem Paryża", w którym odkrywał nieznane tajemnice i uroki. Fargue rzeczywiście z Paryża niemal się nie wydalał, nie licząc tego okresu życia, kiedy podróżował po całej prawie Europie. Zanim choroba przykuła go do łoża, przemierzał niezmordowanie stary Paryż. Potem zaś miał przed oczyma jego widok. Patrzył nań z okien swego mieszkania na Montparnasse.

W roku ubiegłym otrzymał nagrodę literacką miasta Paryża. Przedstawiciele rady miejskiej wręczyli mu nagrodę w jego mieszkaniu. W ten sposób Paryż przybył do poety, by złożyć mu hołd.

Jest jeszcze i trzeci aspekt twórczości Fargue'a. Stał się on znakomitym kronikarzem i pamiętnikarzem. Jego wspomnienia stanowią świetne źródło wiadomości o życiu literackim i pisarzach pierwszej połowy XX wieku.

Pogrzeb poety stał się wielką manifestacją literacką Paryża, mimo że przypadł na czas ostrego kryzysu politycznego i społecznego, jaki przeżywa dziś Francja. Hołd złożyły mu także wszystkie pisma literackie, mimo że jego poglądy na rolę i zadania literatury były nieraz zwalczane.

25 ROCZNICA ŚMIERCI PROUSTA

Na 18 listopada przypadła rocznica śmierci jednego z największych powieściopisarzy francuskich, Marcela Prousta, zmarłego w roku 1922. Paryska Biblioteka Narodowa zorganizowała wystawę, poświęconą jego pamięci. Jest na niej portret pisarza pędzla Jacques-Emile Blanche'a. Znany ten obraz przedstawia Prousta o bladawej twarzy fin-de-siècle'isty z kwiatem w butonierce. Jest także rysunek Denoyer de Segenzac, przedstawiający Prousta na łożu śmierci. Z pamiątek po zmarłym pisarzu zwracają uwagę jego dokumenty, a przede wszystkim książeczka wojskowa i liczne fotografie. Literata zainteresują notatki i zapiski Prousta, korekty utworów i wreszcie rękopisy.

Ciekawe są szczególnie rękopisy. Pierwsza redakcja fragmentów i zdań ginie niemal zupełnie wśród niezliczonych poprawek, wstawek, uzupełnień i kreśleń, które zajmują całe marginesy, wślizgują się między wiersze, wylewają na oddzielne kartki i karteczki, naklejane jedne na drugie.

Na wystawie są także tomy jego utworów, dedykowane znanym osobistościom ze świata artystycznego i literackiego. Są próby korekty z drukarni, różne wydania dzieł, przekłady na języki obce i studia o samym pisarzu. Zwraca uwagę ich ilość. Proust był pisarzem, którego twórczość była bardzo dyskutowana, atakowana, komentowana i wielbiona; nikt ze współczesnych nie wywołał tylu polemik i dyskusji, o nikim tak wiele nie pisano. Dziś jeszcze ukazuje się mnóstwo prac i studiów o jego twórczości, nawet ostatnio można wymienić takie nowości, jak książkę François Mauriaka „Du coté de chez Proust", oraz księżny Bibesco „Le voyageur voilé: Marcel Proust". Ta druga zawiera nie opublikowane dotąd listy Prousta do ks. de Guiche.

Wystawa zbiega się zupełnie przypadkowo z wystawą Cervantesa w związku z 400-leciem jego urodzin. Proust zajmuje parter, pisarz hiszpański pierwsze piętro, tzw. galerię Mazarine tej samej Biblioteki Narodowej. Przypadek ten nie jest pozbawiony znaczenia. Cervantes bowiem wyraża w swej twórczości zdrową siłę życia, pisarz francuski jest przedstawicielem epoki schyłkowej, chorobliwej.

Jak patrzy młoda generacja francuska na dzieło Prousta? Niewątpliwie straciło ono to znaczenie i ten rozgłos, jakim cieszyło się przed 20 laty, kiedy pisarz był modny. Młodzież czyta Prousta na ogół mało. Wziętość jego przeżywa wyraźny kryzys. Składa się na to wiele czynników. Dzieło jego jest zrozumiałe tylko w całości, a trudno znaleźć jego kompletne wydanie. Dziś modne jest we Francji to, co nazywa się „amerykanizmem" czy „sartryzmem", a co wyraża brutalność, nudę, wstręt.

Świat Prousta nie jest światem interesującym człowieka dzisiejszego. Jest to świat arystokratyczny, wykwintny, świat problemów indywidualnych. Tylko społeczeństwo arystokratyczne interesuje pisarza. Problemy społeczne, w jakie obfituje epoka współczesna, nie docierają do jego świadomości. W świecie Prousta, znajdującym się w rozkładzie, rządzi egoizm.

Krytyka francuska przypomina znaczenie tego pisarza. Mówi się o nieznanej przed nim subtelności analizy psychologicznej, o uwzględnieniu takich elementów, jak marzenie i stany podświadome, o drobiazgowości obserwacji, o odtworzeniu obrazu obyczajów epoki, o stylu. Wokoło stylu Prousta toczyła się przez dłuższy czas bardzo ożywiona dyskusja. Zarzucano mu brak jasności i zwięzłości, kwiecistość, skomplikowanie, rozciągłość zdań, barokowe nagromadzenie przymiotników. Dziś uważa się styl Prousta za najbogatszy bodaj i najwykwintniejszy w języku francuskim. Styl stanowi, zdaniem krytyki obecnej, najmocniejszą pozycję jego dzieła.

Za to mówi się, że Proust nie jest i nie będzie nigdy pisarzem dla mas, że będzie zawsze daleki człowiekowi pracy, ukazuje bowiem świat dla niego nieznany i obcy. Proust jest pamiętnikarzem społeczeństwa przerafinowanego i epoki chylącej się do upadku.

Stanisław Gogłuska

MARIA RZEUSKA

Bolesław Prus

Ukazanie się monografii o Prusie*) i to obszernej, dwutomowej, powinno być zdarzeniem w naszym życiu naukowym i kulturalnym, a przecież nim nie jest. Nie tylko z powodu charakteru samego zdarzenia, ale że życie nauki o literaturze tętni raczej słabo. Intensywne spory teoretyczne na łamach pism toczą się poza nią, a szkoda, bo sprawy tam dyskutowane nie należą do błahych stawia się je zaś, a co gorzej rozstrzyga prawie bez udziału badaczy doświadczonych. Brak poważniejszej reakcji na książkę prof. Z. Szweykowskiego jest więc objawem ogólnego stanu rzeczy.

Może nauka o literaturze znajduje się ciągle jeszcze w fazie powojennego znużenia, a może trwa cicha praca gabinetowa, intensywna, zbyt intensywna, by jej przedstawiciele mieli czas i ochotę stanąć w szrankach sporów bieżących? Ale sprawa Prusa, jak mało jaka, powinna wywołać u nich oddźwięk. Dopiero co przeżyliśmy rocznicę pozytywizmu. Monografia z nią związana nie może przejść bez echa. Tymczasem — cisza i brak zainteresowania. Korzenie obojętności tkwią, być może, gdzie indziej i głębiej.

Ktoś gotów się zdziwić, ale tak właśnie jest: polska wiedza o literaturze zawsze miała większe zrozumienie dla poezji niż dla prozy i piękniejsze są jej zdobycze w dziedzinie poezji niż prozy. Mamy wielkich poetów i wielkie o nich studia, mamy wielkich prozaików, ale ani jednej o nich rozprawy na wielką miarę. Nauka o literaturze, w przeważającej mierze — tam, gdzie chodzi o wyjaśnienie zjawisk lub ich ciągu, opiera się na hipotezach. Badacz tworzy koncepcję strukturalnego kształtu utworów, sposobu ich tłumaczenia. Przychodzą inni, burzą ją częściowo lub w całości — stawiają hipotezy nowe. Tak prof. Kleiner na gruzach koncepcji Małeckiego wzniósł swoją budowę poznawczą, wyjaśniającą zjawisko, zwane Słowackim. Ile z niej przyszłość naukowa potwierdzi, ile zaś znów zburzy, jeszcze nie wiadomo. Tymczasem stoi nienaruszona, a jej wymiar odpowiada wielkości przedmiotu.

Czy choć jeden z naszych prozaików doczekał się takiej wyjaśniającej hipotezy? Wiedza o nich prawie nie wyszła poza konglomeraty nie związanych głębszą koncepcją wiadomości. Prawda, że o koncepcje rzucane na wiatr bez udokumentowania faktami też u nas łatwo. A ich wartość poznawcza nie bywa ani trochę większa niż zespołu rzetelnych wiadomości, zazwyczaj niewątpliwie zresztą mniejsza. Był, prawda, wielki miłośnik i badacz powieści: Konstanty Wojciechowski. Ogół o nim nie pamięta. Dostać jego książki już przed wojną nie było rzeczą prostą, cóż dopiero teraz! A który z badaczy pisał językiem tak bezpośrednim, zrozumiałym i szlachetnym? Jeśli czyje studia powinno się dla dobra kultury wznowić, to właśnie jego. Zdziwiona też byłam brakiem nazwiska Wojciechowskiego w monografii o Prusie. Napisał przecież książkę o nim, nie mówiąc, że pozytywizmem interesował się ze szczególną pasją.

Niestety, książka prof. Szweykowskiego nie zawiera żadnej twórczej naukowo hipotezy, nie wnosi do wiedzy o autorze „Faraona" nowych zdobyczy ani ujęć. Prawda — postać to trudna, jedna z najtrudniejszych. Prosta, jednocześnie zawikłana i pełna sprzeczności, zacięć, zahamowań, wirów. Nie małej trzeba bystrości, badawczej, przenikliwej intuicji, dyscypliny naukowej, a jednocześnie szerokości myślenia, by ją powiązać w całość tłumaczącej hipotezy, ustawić w należytej perspektywie, ukazać rzeczy i obszary zamarłe, oddzielić je od spraw jeszcze ciągle pulsujących żywą krwią i wskazać te, które mają szanse przetrwania. Żaden może pisarz polski nie szczyci się tak wciąż trwającym wpływem w następnych pokoleniach twórców i czytelników, co Prus. W nauce polskiej i w najszerszych warstwach społeczeństwa żyje ślepe jakby i głuche przeczucie jego wielkości, ale na czym ona właściwie polega, dobrze nie wiemy. Prof. Szweykowski również tego nie wyjaśnia. Trudności miał duże, ale też nie wyszedł z nich obronną ręką. W „posłowiu" pisze, że książka jest „rezultatem 25-letnich studiów nad pozytywizmem i Prusem". A może to na niej zaciążyło? Czy da się dwadzieścia pięć lat przebywać w jednym kręgu zagadnień i nie utracić właściwego do nich dystansu?

Prus—szare to i jednopłaszczyznowe u prof. Szweykowskiego zjawisko. Musimy wierzyć, że ważne, gdy tyle trzeba o nim mówić. W szarości znanych zresztą na ogół szczegółów zagubiła się atrakcyjna w rozkwicie twórczości, wielkość Prusa, złożoność jego psychiki artystycznej. Badacz idzie torem ustalonych, polonistycznych, co tu ukrywać, nudnych schematów. Mam głęboki kult dla wiedzy, dla dyscypliny naukowej i metodologicznej odpowiedzialności, lecz polonistyczny schemat, jedną z najniebezpieczniejszych raf, powinien dojrzały badacz odrzucać, zwłaszcza jeśli idzie o postaci wybitne.

W porządku chronologicznym biografii omawia autor kolejno szkice, opowiadania i nowele, „Placówkę", „Lalkę", „Emancypantki", „Faraona", „Dzieci". Omawia skrzętnie, rozlewnie, argumentując przytoczeniami. Nie usiłuje — i w swym ujęciu zresztą nie może — sprecyzować wyraźnie i ostro pasjonujących zagadnień prusowskich. Stara się wprawdzie nic nie pominąć, lecz gubi najważniejsze. Gdzież jest tu Prus — autor całą swoją twórczością rzutujący w przyszłość, a nie umiejący w sobie przezwyciężyć przeszłości? Społecznik i reformator, latami drepczący w drobnej, przypadkowej problematyce studni i latarni warszawskich? Jedyny może nasz na skalę europejską pisarz o wielkiej świadomości twórczej i teoretyk, zagubiony jednak w mnóstwie jałowych dociekań wskutek braku umysłowej kultury na miarę jego talentu. Gdzie jest Prus — mistrz w kształtowaniu bardzo złożonej, skomplikowanej i wielorakiej rzeczywistości artystycznej tylu i tak rozległych nieraz w koncepcji utworów, jednocześnie zaś powściągliwy, umiarkowany, nieuchwytny, w językowej i stylowej ekspresji prawie pospolity? W jakim stosunku pozostaje ta bogata w kształty i różnolita plastyczna wizja świata w dziełach do jego rzekomo słabej wyobraźni, intelektualizmu, agorafobii, słabo rozwiniętego zmysłu przyrody?

Mówi się dużo o skrzącym bogactwie Sienkiewicza, przy bliższej zaś analizie wychodzą na jaw schematy, słabizny, prymitywne uproszczenia. Po głębszym wejrzeniu w twórczość Prusa wykrywa się od razu wielowarstwowość, różnorodność, brak schematyzmu i powtarzania się. Który Prus jest prawdziwy, który Prus jest żywy? Gdzie tkwi jego wielkość i gdzie jego małość. Gdzie siła, gdzie słabość? Na żadne z tych pytań nie otrzymamy u prof. Szweykowskiego odpowiedzi. Autor nie uświadomił sobie zasadniczej sprawy, że dzieło może stanowić centralny problem tylko wówczas, gdy istnieje samo lub gdy izolujemy je dla jakichś specjalnych celów badawczych, wyraźnie określonych. W monografii jest ono tylko częścią całości, jednym z zagadnień. Całość nadrzędna to jednostka twórcza. Problemy, które narzuca całość monograficzna, nie są jednoznaczne z problematyką poszczególnych utworów, nawet gdy mówiąc o następnym, nie pomijamy stosunku do poprzedniego. Tak np. realizm Prusa to swoiste zagadnienie, nie wyczerpujące się w jakości poszczególnych dzieł, ale ukazujące swoje oblicze dopiero wówczas, gdy dzieła poszczególne potraktuje się jako materiał, nie przedmiot i cel poznawczy.

Prof. Szweykowski słusznie z daleko idącymi zastrzeżeniami odnosi się do tzw. realizmu pierwszych utworów autora „Anielki", lecz sprawy tej konsekwentnie w swej monografii nie rozważa. A byłoby tu co rozważyć i nad czym się nabiedzić! „Placówka" np. nie jest realistyczna w sensie ścisłym. Stanowi przejście od egzotyki i fantazyjnych pierwszych, chłopskich opowiadań do dojrzewającego realizmu. Jeszcze w niej pokutuje piętno karykatury i wątpliwej humorystyki, którą zdaje się prof. Szweykowski przeceniać, ale jest już dążenie do obiektywizmu, do zrzucenia maski ucywilizowanego społecznika, co wprawdzie ceni „lud", ale przymruża oko dobrotliwie a ironicznie nad jego grubością, brakiem ucywilizowania, nad pociesznością jego mędrkowania, nieufnością itd. „Lalka" niesie dwie fale. Dojrzały realizm i jak już dawno zauważono — pogłosy romantyzmu. W „Faraonie", szlachetnej zaprawie realizmu, zwycięża i szczyt osiąga prąd romantyzujący. Z analiz prof. Szweykowskiego wynika, jakoby to był utwór najbardziej pozytywistyczny, najbardziej na zimno wyważony; jakoby w walce młodego Faraona Prus był po stronie kapłanów; jakoby Prus uważał, że młodzieniec, z własnej winy, pada ofiarą nieobliczalnego porywu. Tak nie jest. Przeciw temu mówią cytaty, które sam autor z Prusa przytacza, a interpretuje w niewłaściwym, zdaje się, kierunku. Prus stoi po stronie młodego Faraona. Nie tylko treści jego wzniosłych idei, słuszności żądań. Jest to dla niego bohater w pełnym sensie wyrazu. Ginie nie tylko dlatego, że, jak sądzi prof. Szweykowski, urodził się według Prusa za wcześnie. Bo gdy kapłan Menes mówi, że „Wszystkie rozumy nie ocaliłyby sokoła zaplątanego między wrony", to niedługo musimy się namyślać, by stwierdzić, że dochodzi tu do głosu romantyczne uwielbienie młodzieńczego porywu księcia, jego walki z szarą, pospolitą, a przeważającą siłą. Zresztą romantyzującą fakturę „Faraona" prof. Szweykowski spostrzega i podkreśla również.

„Dzieci" reprezentują ostatni i ostateczny, szkodliwy myślowo i artystycznie, a zwycięski wydźwięk romantyzmu w twórczości Prusa. Opuszcza go umiejętność obiektywnego, realistycznego oglądania i ewokowania rzeczy, ludzi i ich spraw. Nie potrafił już wzruszeniem nieulęklym i bystrym patrzeć na rzeczywistość, zagubił go na romantycznych drogach walk książąt z kapłanami. Pospolitość, krwawiąca bolesność, a mimo to bohaterska wielkość rewolucji i związanych z nią wypadków była dla tego romantyka niedostępna. Widział tylko pospolitość, nie dostrzegł wielkości. A nie można dać sugestywnego wyrazu temu, czego się artystycznie nie dostrzeże i po ludzku głęboko nie przeżyje. To te historia realizmu Prusa przechodzi różne koleje, jej wyraz ostatni jest ostateczną konsekwencją romantyzmu, śmiercią realizmu i upadkiem talentu.

Metodologicznie studium prof. Szweykowskiego również nie ma cech szczególnie zastanawiających. Autor nie potrafi zdecydować się na określony punkt wyjścia w technice badań, nie potrafi też zespolić w jednolitą całość tych licznych sposobów, którymi się posługuje. Nie jest to ani badanie socjologiczne lub biograficzno-genetyczne, ani formalne, ani też psychologiczne. Każda z tych metod ma swoje zastosowanie, tu ograniczone, tam ograniczone, ale ma. Formaliści mają akcję, motywy, technikę, czasami trochę powierzchownej analizy stylu. Biografowie życiorys bardzo zredukowany, psychologowie interpretację pewnej ilości przeżyć i przekonań autora. Socjologowie jego społeczne poglądy. Prof. Szweykowski dążył — w intencjach może i chwalebnie — do oddania sprawiedliwości wszystkim metodom. Rzadko, w wyjątkowych tylko wypadkach, taka wielostronność daje rezultaty pozytywne. Powierzchownie stosowana zaciera raczej kwestie, stępia ostrość problematyki, gubi sprawę. Nie wydaje mi się, że obowiązkiem rzetelności badawczej ma być koniecznie podobny eklektyzm metodologiczny. Przeciwnie — zdarza się często, że jednostronność wydobywa na jaw lepiej, [illegible] wszystko, co ukrywa się pod powierzchnią pozorów. Jak światło rzucone snopem w jednym tylko kierunku.

Wszystko, co tu powiedziałam, nie miało na celu skrzywdzenia autora monografii w jego ciężkim trudzie pracy nad Prusem. Nie chcę też przynosić ujmy wysiłkowi w to włożonemu, pieczy w zbieraniu materiałów źródłowych, miłości do twórcy. Ale kto podjął ambitny trud napisania monografii o jednym z największych, a może i największym pisarzu, musi oczekiwać, że skala postawionych mu wymagań nie będzie mała.

Najlepszą stroną książki jest to, co można by przenośnie nazwać wiernością Prusowi. Autor stara się udokumentować każde niemal własne zdanie cytatami z jego działalności publicystycznej i z twórczości. Stąd przytoczenia w tekście wraz wraz z przypisami stanowią chyba trzecią część całej monografii. Za największe niedociągnięcie w stosunku do postawionych postulatów uważa autor fakt, że nie wyzyskał wszystkich źródeł, bo miał trudności w dotarciu do nich, że stracił niektóre notatki. Możemy jednak stwierdzić, że zarówno ilość, jak i jakość udokumentowania jest całkowicie wystarczająca. To najmocniejsza strona studium. Prawda, że Prus miał szczęście do dokumentarnego raczej niż interpretacyjnego i wyjaśniającego traktowania. Studia Włodka i Araszkiewicza taki właśnie mają charakter.

Ogólnie można powiedzieć, że zasługa prof. Szweykowskiego jest raczej nauczycielska niż naukowa. Laik, nauczyciel, uczeń, student znajdą tu kompendium dotychczasowej wiedzy o Prusie, jeszcze raz starannie zebranej, pomnożonej szczegółami, cytatami, podanej z żarliwym umiłowaniem przez dobrze orientującego się w materiale i epoce profesora polonistyki. Nie lekceważy zbyt lekko podobnego wysiłku, kto wie, co znaczy przewędrować w charakterze poszukiwacza takie obszary, jakie reprezentuje twórczość Prusa. I w trudnościach wojennych zwłaszcza. Nie da się wprawdzie trudnościami wojennymi usprawiedliwić braku wyraźnie postawionych i w skali właściwej rozwiązanych zagadnień, ale gdy książkę przyjmiemy taką, jaką jest, może się ona stać punktem wyjścia do dalszych rozważań i przemyśleń. Ponieważ następna monografia o Prusie ukaże się zapewne nie prędko, niech asi miłośnicy i znawcy Prusa i jego epoki — a wiem, że są wcale liczni — zabiorą głos i książkę odpowiednio dopełnią. Problemy Prusa nabrzmiały tak silnie, że każde potrącenie wywołuje konieczność i oczekiwanie natychmiastowego rozwiązania, a monografia prof. Szweykowskiego nie jest tylko potrąceniem. Gdybyż wywołała odzew należny i poważny, taki, na jaki Prus zasługuje.

Maria Rzeuska

*) **Zygmunt Szweykowski.** Twórczość Bolesława Prusa. Tom I i II. Poznań, Wielkopolska Księgarnia wydawnicza, 1947; tom I, str. 313 i 1 nl., tom II, str. 269 i 3 nl.

OD ADMINISTRACJI

Z dniem 1 kwietnia administracja „Odrodzenia" przeniesiona została do Warszawy. Zamówienia prenumeraty oraz wszelką korespondencję kierować prosimy na adres: Administracja Wydawnictw „Czytelnika", Warszawa, Daszyńskiego 16. Pieniądze na prenumeratę wpłacać prosimy na konto czekowe w PKO. nr I-4739.

CZESŁAW MIŁOSZ

WIERSZE

DZIEŃ I NOC

I

Kiedy przyjaciel mój w suche kamienie
Uderzał ręką kiełkującej trawy
Na pokruszonej bieli pobojowisk
Gdzie pamięć o nim ludzkie nogi starły,
Do moich kolan fala oceanu
Biegła i słońce, okrążając plecy,
Na szum przybrzeżny kładło długie cienie
I życie dobre było, któż zaprzeczy.

Wzniesioną piersią kobiet spotykana
W pył przezroczysty łamała się burza
Głębiny, w którą światło się zanurza
Odbite w niskim skrzydle pelikana.
Więc dar dostając dwudziestego wieku,
Publiczną nagość, wziąwszy się za ręce
Wtedyśmy w grzmiący przebój nurkowali,
Albo z piaskowej wychodząc fortecy
Crawlem po lśniącej przemknęli się fali.
I życie dobre było, któż zaprzeczy.

II

Stół zastawiony. Od jaskrawej ziemi
Jak snopy kwiatów blask ciepły uderzał.
Byliśmy jakby w altanie zieleni
I ptak czerwony, trzepoczącym lotem,
Migał nad liśćmi i wracał z powrotem.
Dźwięk oceanu jak pies przy nas leżał.

Kiedyśmy szklanki do ust podnosili
Ktoś nagle krzyknął. Spojrzałem w tę stronę.
Mijały stół nasz, w zwartej idąc linii,
Stworzenia, śmiercią w owady zmienione.
Krokiem gąsienic, toczący pierścienie,
Szli Karol, Józef, Ludwik i Antoni,
Dla swoich czynów inną mając ziemię,
Dla spraw, o których wiedzą tylko oni.
Kruche namioty wznosić pośród liści?
Potężną zuchwą ciąć soków osmozy?
W próchnie kołatać zębem krzywych noży?
Przeszli. I w trawie znikli, uroczyści.

III

W dłoni ważyłem jej smukłe owoce
I włos jej ciężki plotłem na pościeli
W zielonej sztolni gorącego świata
I noc nad nami była, jak są noce
Kiedy się w pustce granatowej bieli
Gwiazda tak jasna, że prawie skrzydlata.

Było tak cicho, żeśmy słyszeć mogli
Jak się obraca, powoli grająca,
Daleko w górze kula blado-srebrna,
Do meksykańskiej podobna budowli,
Z płaskorzeźbami mórz na tarczy słońca,
Niedosięgalna i ziemi pokrewna.

Na dnie, gdzie lampki owadów się jarzą,
Mucha zaczęła brzęczeć. I to trwało.
Biła w wykute z pajęczyny kraty.
Nieszczęsna mucha z półdziecinną twarzą,
Zazdrosna, że z nas jedno nie zostało
U zapomnianej dawno barykady.

O DUCHU PRAW

Z płaczu dzieci na podłogach pozaczasowych dworców,
Ze smutku maszynisty więziennych pociągów,
Z czerwonej skazy dwóch wojen na czole,
Ocknąłem się pod brązem skrzydlatych pomników,
Pod gryfami masońskiej świątyni,
Z dogasającym popiołem cygara.

Było lato kolumnowych platanów, ptasich pereł sypanych od świtu,
Lato złączonych rąk, czerni, fioletu,
Lato niebieskich pszczół, gwizdów, płomieni,
Maleńkich śmigieł kolibra.

Ja, z moją jedną sosnową kotwicą na piaszczystej równinie,
Z przemilczaną pamięcią umarłych przyjaciół,
Z przemilczaną pamięcią miast i rzek,
Byłbym gotów rozedrzeć nożem serce ziemi
I umieścić tam żarzący się diament krzyków i skarg,
Byłbym gotów krwią pomazać dno korzeni,
Żeby na liściach wywołać imiona
I zakryć malachit pomników skórą nocy
I wypisywać fosforem mane tekel upharasim
Świecąc smugą wykapanych powiek.

Mogłem iść nad brzeg wody, gdzie kochankowie
Patrzą na resztki zabaw płynące do morza,
Mogłem w park samochodów, tęczujących baniek mydlanych,
Wchodzić i nasłuchiwać, jak się trudzi
Wieczna ludzkość przytłumionych nut,
Pracowitych, zwinnych mięśni męskich
Nad gorącym motylem z karminu.
Ogrody skaczące w dół, na dno wąwozów,
Narodowe tańce popielatych wiewiórek,
Białe laboratoria skrzydlatych niemowląt
Wyrastających zawsze w zmienionej epoce
Blask, sok, róż dni.
Wszystko to
Wydało mi się początkiem słońca płowych równin
Gdzie na stacjach, przy kulawym stole,
Siedzą nad pustą szklanką, z twarzą w dłoniach,
Smutni maszyniści więziennych pociągów.



Czesław Miłosz

PRZYPOMNIENIE

Minęliśmy wyspy
Zmieniały się wiosny,
Dziewczęta w policzkach
Puch brzoskwiń przyniosły,
Neony w zieleni
Iskrami przebiegły
Strumienie gitary
Z gór leśnych oddźwiękły,
I usta złączone
Nad światłem liczników
Jechały asfaltem
Pod skrzydłem pomników,
Noc lotnisk jaśniała
Lampami objęta.
O Grecji, o Grecji
Któż tutaj pamięta.

Świat nasz niewątpliwie
Na lepsze się zmienia.
Błyszczącej machinie
Poddana jest ziemia.
Nieszczęście nawiedza
Nieszczęsne krainy,
Z nas każdy szczęśliwy,
Bo wolny od winy.
Los węsząc zagubi
Wiodące tu tropy,
Ocean nas dzieli
Od złej Europy
I Wolność podróżnym
Da znak na okrętach.
O Grecji, o Grecji
Któż tutaj pamięta.

Śpiew dzieci w listowiu
Na echach się ćwiczył
I biegło mil tysiąc
Dojrzałej pszenicy,
Kombajny rzędami
Sunęły pod słońce,
Świeciły na jabłkach
Cykady grające,
I w deltach cysterny
Blask srebrny zbierały
Sternikom — miast zarys
Pojawiał się biały,
I dróg napowietrznych
Sieć drżała napięta.
O Grecji, o Grecji
Któż tutaj pamięta.

Że gdzieś tam daleko
Wciąż wojna się pali?
To zdarza się tylko
Wśród ciemnych górali.
Za skarb cały mają
Opończę baranią
I życie tak nędzne
Szacują zbyt tanio.
To los barbarzyńców
Rozprawiać się krwawo
Nie im demokracja,
Bo obce im prawo.
Więc ginąć gotowi
Na rozkaz agenta.
O Grecji, o Grecji
Któż tutaj pamięta

Spadł deszcz i na Olimp
Wiatr obłok niósł dymny
I grano seriami
Niedługie kul hymny
Dział echo na skałach
Mierzyło godziny
Dla tych co nie wiedzą
Jak drzemać bez winy.
A oni, choć winni
Co mieli, dawali:
Opończę i wąski
Z ust sznurek korali.
Szli w ziemię ugorną
I deszcz zmywał piętna
I matka żałobna
O Grecji pamięta.

O powiedz mi, czym się
Sens ludzkich spraw mierzy
Czy portów bogactwem
I ceną przymierzy,
Czy co dzień gaszoną
Pochodnią nadziei,
Co ludów na lepsze
I gorsze nie dzieli?
Więc zamilcz i nie mów,
Że walczą mocarstwa,
Bo prochu z urn greckich
Odpowie ci garstka
I właśnie dlatego
Ten kraj się pamięta
Że wspólna rzecz nasza
T A M była zaczęta.

NA ŚPIEW PTAKA NAD BRZEGAMI POTOMAKU

Kiedy zakwita magnoliowe drzewo
I park zielonym zmąca się obłokiem,
Słyszę twój śpiew nad brzegiem Potomaku
W uśpione płatkiem wiśniowym wieczory.
Wybacz mi, proszę, brak tego wzruszenia,
Które prowadzi przemocą z powrotem
W miejsca i wiosny dawno zapomniane,
Aby maluczkich uwodził poeta
Patriotycznym sentymentem, serce
Cisnął stęsknione i farbując łzy
Mieszał dzieciństwo, młodość, okolice.
Mnie to niemiłe. Po cóż mi wspominać
Żółte od liści młodziutkich Ponary,
Zapach wilczego łyka migdałowy,
Echa po lasach od wrzasku cietrzewi?
Po cóż mi znowu iść w te ciemne sale
Gimnazjum króla Zygmunta Augusta
Albo o sosny potrącać biczyskiem
Na drodze z Jaszun, jak niegdyś Słowacki?
Nad Mereczanką nasze to zabawy
Były, czy dworzan króla Władysława,
Nasze miłości i nasze rozstania
Czy też miłość z pieśni Filomatów,
Już nie pamiętam. Ptaku, wdzięczny ptaku,
Ty, który dzisiaj śpiewasz mi to samo,
Co słyszał tutaj indyjski myśliwy
Stojący z łukiem na ścieżce jeleni,
Cóż możesz wiedzieć o zmianie pokoleń
I o następstwie form w ciągu jednego
Ludzkiego życia? Tamte moje ślady
Zatarł nie tylko pęd zim i jesieni.
Ja byłem świadkiem nieszczęść, wiem co znaczy
Życie oszukać kolorem pamiątek.
Radośnie słucham twoich ślicznych nut
Na wielkiej, wiosną odnowionej ziemi.
Mój dom sekunda: w niej świata początek
Śpiewaj! Na perłę popielatych wód
Syp rosę pieśni z brzegów Potomaku!

WE WNĘTRZU RÓŻY

We wnętrzu róży są domy ze złota,
Zimne strumienie, czarne izobary,
I świt ma palce na krawędzi alp
I wieczór spływa z palm w zatoki morza.

Kiedy umiera ktoś we wnętrzu róży,
Długim pochodem sfałdowanych płaszczów
Niosą go z góry drogą purpurową,
W pieczary płatków świecą pochodniami
I pogrzebany będzie w nietykalnym
Początku barwy, pod źródłem westchnienia
We wnętrzu róży.

PAŁAC MOICH MUZ

Niestety, kraina pozorna
Kaktusowego cienia,
Włochata gwiazda wieczorna
Imitatorka milczenia,
Niestety, świerszcze przebrane
Z muszlą na lasce pątników,
Niestety, słychać przez ścianę
Zgrzyt nakręcanych słowików

Niestety, jeden liść róży,
Pośladek ładnej dziewczyny —
Noc wszystko w kuble zanurzy
Czy z mojej, czy z mojej winy?

Niestety, rumu kropelka —
Zgasną misterne godziny,
W zalewie nocy jak pchełka,
Czy z mojej, czy z mojej winy?

O Terpsychore, Euterpe,
Ja przecie tak was kochałem!
Na wietrze niezdarnych cierpień
Kolibra dom budowałem.

Czy za to, że byłem wierny,
Kwiatki, muszelki wam niosłem,
Wiaderkiem zbierałem perły,
Przejęty takim rzemiosłem?

Niestety, świerszcze zdejmują
Swoje dziwaczne przebranie,
Sprężyny słowików się psują
I martwe wiszą na ścianie,
Niestety, gwieździe przecięt
Sznur elektrycznej łodygi,
W ucieczce błysnęły piętą
Kaktusy czyli pomniki.
Niestety, wiatr pióra porwał,
Gaśnie kraina pozorna.

PIEŚŃ MURZYŃSKA

Czerwona rzeka Perry
Księżyc nad wodą wschodzi

Czerwona rzeka Perry
Księżyc nad wodą wschodzi

Osypuje się pył bawełny pył na liściach akacjowych drzew pt[illegible] wyśmiewacz gorący zmierzch dnie i noce nie ma dla nas wytchnienia.

Czerwona rzeka Perry

Śniło mi się że jak orzeł miałem skrzydła
I uniosłem się w obszar błękitu
Sniło mi się że rozpostarłem skrzydła
I leciałem nad wielką równiną

Księżyc nad wodą wschodzi

Drzewo szeptu drzewo boleści w pyle zmierzchu w pętlicy dróg w pyle bawełny drzewo przerażenia

I rzuciłem ciężar swój
I głos trąby nawoływał mnie
I wchodziłem nieruchomą stopą
Na złocistą drabinę obłoków
Gwiazdy niebios przywitały mnie

Czerwona rzeka Perry
Księżyc nad wodą wschodzi

Czerwona rzeka Perry
Księżyc nad wodą wschodzi

Wiersze pisane w 1947. w Stanach Zjednoczonych.

MARIAN PODKOWIŃSKI

Niemcy po dwu latach

Berlin w grudniu 1947 r.

Minęły dwa lata, kiedy po raz pierwszy po wojnie mijałem Brandenburger Tor w Berlinie. Było to zaledwie w kilka miesięcy po upadku Niemiec i ślady tego było można najwyraźniej odnaleźć w niedawnej Reichshauptstadt, jak ochrzcił stolicę pruskich Kurfürstów — Goebbels. Berlin przedstawiał wtedy — jak zresztą i inne większe miasta pokonanych Niemiec — widok zrujnowanego i pognębionego miasta. Gruzy i śmiecie zalegały ulice, place i chodniki (jeśli te jeszcze istniały w pojęciu urbanistycznym). Komunikacja tkwiła w powijakach, życie publiczne w prymitywie. Ludzie o żółtych jak pergamin twarzach i w podniszczonym odzieniu szukali wśród odpadków jadalnych resztek, mężczyzni uganiali się za niedopałkami papierosów, uważnie obserwując ruchy alianckich żołnierzy, którzy urządzali sobie z tego zabawę. Jeszcze nie zdążył człowiek z ust wyjąć papierosa, gdy jak spod ziemi wyrastał obszarpaniec, czatując zazdrośnie na zdobycz. Większość kamienic starego Berlina pozbawiona była dachów, a ściany domów groziły zawaleniem. Wycięte w alejach drzewa świadczyły, że i brak opału należał do atrybutów klęski. W pięknym Tiergartenie sadzono kartofle, a pomniki (straszne kicze gipsowe) dumnych Hohenzollernów oraz ich wiernych marszałków walały się w dzikich zaroślach najpiękniejszej promenady berlińskiej.

Upadek ducha znać było na każdym kroku. Niemcy, gdy stracą swój tupet i butę, zachowują się podlej od najbardziej skatowanego psa. Kto widział w owych dniach ich żebrzące oczy, ich płaczliwe miny i pokorę bez granic na widok alianckiego munduru czy auta, ten tylko może pojąć, czym były Niemcy po klęsce. Abnegacja i upodlenie przeciętnego Niemca napawały nas wtedy odrazą i nieufnością. Większość z nas gotowa była jednak przypisać ich zachowanie się i sposób życia raczej rozumowi politycznemu (którego im się stale odmawia!) niż ekspiacji za popełnione zbrodnie.

Byli jednak i tacy wśród nas, którzy Niemcom uwierzyli. Poszli na lep jednego z tych mitów, które poczęto już w tym czasie gorączkowo tworzyć ad usum delphini. Dyskutowana ówcześnie sprawa winy względnie odpowiedzialności Niemców za zbrodnie wojenne, sławetna „Schuldfrage", przekształciła się szybko w mit niewinności. Najbardziej uczone głowy heidelberskie z filozofem Karlem Jaspersem ruszyły w sukurs politykom, głoszącym tezę, że Niemcy nie są w większym stopniu odpowiedzialne za to wszystko, co się stało w Europie, niż inne narody.

Mało tego! Znaleźli się politycy pokroju Schumachera, którzy ukuli slogan, że „totalne zwycięstwo aliantów oznacza równocześnie totalną ich odpowiedzialność za Niemcy". Odpowiedzialność spada zatem już na aliantów, a Niemcy mogą spokojnie spać.

Mit ten, który znalazł podatny grunt w narodzie nawykłym do wygody politycznej, miał swe źródło w apatii, jaka ogarnęła społeczeństwo niemieckie w okresie postalingradzkim. Stosunkowo mało osób zdawało sobie sprawę — jak pisała „Die Weltbuehne" — w okresie zakończenia wojny, jak ciężką i cierniową drogę należy przebyć, aby wybrnąć z chaosu, jaki pozostawili hitlerowcy, i powrócić do normalnych warunków życia. Ludzie, którzy pod koniec wojny zaczęli się nawet orientować w tragedii, jaka ich spotka, oczekiwali jej nadejścia z nadzieją, że wszystko i tak przecież „jakoś się samo ułoży". Pomagał im w tym poszept sumienia, że wina była tylko dobrze pojętym obowiązkiem wobec ojczyzny, za który odpowiadać może tylko ten, kto rozkazywał. A „ten" człowiek nie żył! Takim argumentem „dobrze pojętego poczucia obowiązku" bronili się przecież najwięksi zbrodniarze świata, jak Hess, Pohl, Kaltenbrunner i reszta. Mordowali, to prawda, ale na rozkaz, którego nic naruszyć nie mogło w mentalności niemieckiej.

I szybko powstał drugi mit: ponieważ rozkazodawca nie żyje, naród niemiecki jest wolny od grzechu. Przecież inni też mordowali!

Powstała nawet poważna literatura. Albrechta Haushofera, którego ojciec był twórcą teorii Lebensraumu, a który sam był przyjacielem Rudolfa Hessa, ogłoszono „poetą bez skazy" podziemnego ruchu niemieckiego, ponieważ ten — oskarżony o uczestnictwo w spisku 20 lipca 1944 — napisał w więzieniu cykl sonetów. Po żmudnych badaniach odkryto jeszcze kilka osób, które miały odwagę, w tajemnicy przed światem, gdzieś na peryferiach życia niemieckiego, tworzyć „rewolucyjne" poematy. Oczywiście, że wszyscy ci spiskowcy i światoburczy wieszczowie „rewolucji" niemieckiej sami przez wiele lat o tym nie wiedzieli lub nie poczuwali się do konspiracji.

Podobnie jak owi generałowie, którzy chcieli usunąć Hitlera, aby sami mogli rządzić w Niemczech i przygotować naród do trzeciej wojny. W ten sposób powstał mit 20 lipca, jedna z niebezpiecznych legend politycznych naszych czasów.

Legenda ruchu oporu w hitlerowskich Niemczech, mit, który ma zrehabilitować Niemcy w oczach świata, doczekał się nawet rozpraw doktorskich. Pucz generalskiej kliki stał się zresztą stałym tematem prasy niemieckiej, która po maniacku dopatruje się w każdej degradacji czy śmierci kogokolwiek z otoczenia Hitlera — śladów ruchu podziemnego. Wiedząc jednak, że ruch ten był minimalny, stworzono na wszelki wypadek termin „Innere Emigration", który miał być legitymacją demokratycznych przekonań dla tych wszystkich, którzy „milcząc — protestowali". Ponieważ jednak nikt w to poważnie nie wierzył, a duchy z niemieckich legend były dość nikłym kontrastem wobec prawdziwego oporu okupowanej Europy, Niemcy rzucili się na pucz 20 lipca, jak spragniony na pustyni rzuca się na porzuconą sakwę wody.

Woda ta okazała się jednak trucizną.

Spisek ten bowiem był ruchem czysto militarnym, opartym na zawiedzionych ambicjach zdegradowanych oficerów, którym więcej chodziło o karierę i szlify niż o dobro Niemiec. Dlatego wychwalanie dzisiaj bohaterstwa tych ludzi, którzy na domiar w ostatniej chwili podle stchórzyli — jak wiemy z relacji naocznych świadków — generałów, z których niejeden musiałby teraz, gdyby żył, stanąć przed trybunałem norymberskim (chociażby satrapa śląski hr. Helldorf, pierwszy kat w służbie Hitlera lub gen. Fromm, zausznik Himmlera), zakrawa po prostu na ironię. Szukanie mitów i fałszywych legend jest widać we krwi germańskiej od czasów Nibelungów.

W dwa lata po wojnie, kiedy nie obeschły jeszcze łzy sieroce, reakcja niemiecka, opiewając „wielkie czyny bohaterów 20 lipca", wynajduje zasługi dla swego obozu — bo z niego wywodzili się duchowi przywódcy puczu — zapominając, że jeśli w Niemczech był w ogóle jakiś opór wewnętrzny w rozumieniu europejskim, to przede wszystkim brały w nim udział niedobitki socjalistów i komunistów z grupy Antona Saeffkowa czy spod znaku „Rote Kapelle". Spisek 20 lipca, owoc konspiracji zapamiętałych imperialistów niemieckich, dla których nawet granice Weimaru były już koncesją na rzecz „tymczasowego pokoju", doczekał się poważnej biblioteki. Stał się relikwią dla ludzi spod znaku „schwarz-weiss-rot—bis zum Tod", a których charakter tak trafnie uchwycił Goerge Grosz.

Ale my wiemy dziś również, że spisek gen. Becka i Goerdelera nie udał się i z tych jeszcze powodów, że nikt z generałów nie walczył o jakieś nowe Niemcy; szukali oni jedynie innej formy imperializmu. Wiemy też, że gdyby za spiskowcami stały masy, Hitler zostałby przez własnych żołnierzy dobity, jeśliby nawet wyszedł cały z bunkru. Kilku trzęsących się generałów, których zobaczył młody idealista Stauffenberg na Bendlerstrasse*), nie mogło zniszczyć hitleryzmu przez noc. Potrzebny był ruch masowy. „Rewolucję" hitlerowską mogła obalić tylko nowa rewolucja społeczna. A wiemy doskonale, że generałowie obawiali się więcej rewolucji społecznej niż samego Hitlera!

Mity te jednak działają kojąco na strapione dusze niemieckie, stwarzając ogromny kapitał polityczny dla zręcznych graczy, jakich nie brak dziś w Niemczech. Są oni daleko lepiej zorganizowani niż w 1918 roku, choć klęska była wtedy mniejsza niż dziś i znajdują w narodzie niemieckim znacznie bardziej sprzyjający grunt. Dwa lata powojenne to świetna szkoła dla nacjonalizmu niemieckiego. Każdego cudzoziemca zdumiewa prężność Niemców i brak odpowiedzialności za dokonane przestępstwa. Czyż byłoby możliwe, aby w tak krótkim czasie po klęsce i rewelacjach norymberskich Niemcy mieli odwagę znów burzyć żydowskie cmentarze i łączyć się w tajne związki hitlerowskie? Czymże można sobie tłumaczyć narastanie reakcji w Niemczech i powstawanie partii politycznych, opartych znowu na nienawiści rasowej i społecznej, jak „Ludendorff-Bund" i „Rana" (Radikal-Nazionalisten)? Napady na działaczy lewicowych, burzenie pomników „Opfer des Faschismus" i kolportaż ulotek w stylu „Stürmera"? Czy napisy na murach „SA lebt noch" mają być dowodem ekspiacji?!

To wszystko dzieje się obecnie w Niemczech, gdzie obóz demokratyczny jest wciąż jeszcze słaby i rozbity przez politykę Schumachera i gdzie ludzi uczciwych pokroju Otto Grotewohla piętnuje się nazwą zdrajcy i sprzedawczyka ideałów narodowych, gdzie ogłasza się krucjatę przeciwko Związkowi Radzieckiemu i gdzie każdy odruch pokory czy skruchy poczytywany jest za dowód słabości, jeśli nie zaprzaństwo. W powojennych Niemczech prowadzi się — jak powiedział kiedyś pułkownik Tulpanow na konferencji SED — kampanię przeciwko socjalizmowi. Patrząc na to, co się dzieje np. w zachodnich Niemczech, mimo woli przypominają się słowa Marxa z „Manifestu komunistycznego" o czasach federacyjnych Niemiec z r. 1847: „Wszystkie siły starej Europy złączyły się w świętej kampanii: papież i car, Metternich i Guizot, francuscy radykali i niemiecka policja" Z perspektywy polityki, jaką zachodni alianci uprawiają dziś w Niemczech, można by jeszcze dodać: „I wszystkie siły starej Ameryki i sympatyków Schumachera".

Sytuacja, jaka się wytworzyła w Europie i za Oceanem, nie pozostała bowiem bez wpływu na stosunki w Niemczech. Ambitni politycy niemieccy, popierani przez imperializm anglosaski, poczuli się nagle mocni na swych pozycjach. Dostrzegli momentalnie możliwość „uratowania wartości narodowych" i stanu posiadania, tak nieodzownego dla prosperowania kołtuństwa niemieckiego. Mieszczuch niemiecki nastawił uszu, aby czerpać zbawienne słowa swych małych proroków, skoro nie stało „wielkiego". Każde słowo nieporozumienia w obozie zwycięzców było otuchą dla zbolałych serc „wielkoniemieckich". Każda zmiana warty lub szczęk karabinu nową kroplą nadziei na pustyni spragnionych szowinistów. Nasłuchiwano skwapliwie pomruków nadciągającej rzekomo burzy, rojąc sny o szpadzie. Fantazja głodnego pracuje ze zdwojoną mocą.

Aby nie wyjść tymczasem z wprawy, zaaplikowano narodowi „palcówki" nacjonalistyczne, namiastkę demokracji starając się pokryć nic nie znaczącymi — w istocie rzeczy — liczmanami „odrodzenia narodowego".

Miesięcznik lewicowy „Aufbau", poświęcający wiele miejsca tym sprawcom, przeprowadził kiedyś ciekawą ankietę na temat „Czy istnieje specyficznie niemiecki kryzys duchowy". Prof. Bennedik twierdzi np., że rozpatrywanie kryzysu demokracji pozwala stwierdzić, jak bardzo różnią się Niemcy od pozostałego świata. Można mówić o kryzysie demokracji na świecie, to znaczy poza Niemcami. A czy można w ogóle mówić o kryzysie demokracji w Niemczech? zapytuje uczony. Nie, ponieważ w Niemczech jeszcze nie było demokracji. Zdaniem prof. Friedensburga w Niemczech jest dziwny brak równowagi między racjonalizmem a sentymentalizmem, czynnikami, które nie prowadzą do prawdziwej harmonii, do prawdziwej twórczej równowagi, ale zmuszają do balansowania — np. w polityce — między tryumfującą butą a niewolniczą giętkością.

Trafność tego określenia łatwo sprawdzić w okresie powojennym.

Nie mniej trafny jest pogląd prof. dr. Deitersa na kryzys w ruchu robotniczym. „Bywa jeszcze inna forma kryzysu duchowego — powiada uczony. — Prawdziwy tragizm naszego położenia polega na tym, że po bankructwie i upadku mieszczańskiego liberalizmu zawiódł również socjalistyczny ruch robotniczy. Nigdy dotąd, gdy ważył się los niemieckiego narodu, ani w roku 1914, ani w 1918, ani też w roku klęski 1933-cim — ruch robotniczy nie stanął na wysokości zadania. Musimy stwierdzić, że klasa robotnicza i ruch robotniczy przeżywają głęboki kryzys..." Natomiast prof. Menzel powiada, że tylko przesadni optymiści mogą twierdzić, że Niemcy przeżyły rewolucję (wskutek upadku Hitlera).

„Spójrzmy prawdzie w oczy — mówi Menzel — bez iluzji, a stwierdzimy, że siły, które winny ten porządek stworzyć, są nadzwyczaj słabe..."

Gdy więc siły rewolucyjne są jeszcze w niemowlęctwie, stara, prawie już zardzewiała reakcja niemiecka pędzi żywot odmłodzonego staruszka, nadając większej części Niemiec właściwy jej charakter. Wystarczy przejechać się po miastach Zagłębia Ruhry i Nadrenii, przekroczyć góry bawarskie i zajrzeć do dolin frankońskich, aby przekonać się, że wojna nie przeorała ani tej ziemi, ani ludzi. Tutaj nadal błądzą mity Leo Schlagetera, a ludzie pokroju Tillessena, osławionego mordercy, wiodą spokojny i beztroski żywot w oczekiwaniu hasła.

Toczą się tutaj długie dyskusje o możliwości wygrania wojny i pomyłkach sztabu, zaś apoteoza przeżyć wojennych jest tematem nowel i wspomnień literackich. „Die Kampfgefährten", czyli towarzysze broni — to najbardziej atrakcyjna publiczność w kawiarniach i na porankach literackich, które zazwyczaj kończą się demonstracją krzepy narodowej, jak to bywało i w Erlangen i w Stuttgarcie i w Heidelbergu. W aulach uniwersyteckich spotykają się byli oficerowie SS, aby układać światoburcze plany i bić Żydów na ulicach „Stadt der Bewegung". A czasopismo hamburskie „Nordwestdeutsche Hefte" zajmuje się „naukowo" poglądami Niemców na kwestię ich odpowiedzialności za „nieprawość" (Unrecht) wojenne stale podkreślają nastrój zatwardziałego uporu, jaki ich opanował. Zdaniem pisma, winę za ten stan rzeczy ponoszą, w dużej mierze... zwycięzcy.

Jeszcze jeden mit z gatunku legend powojennych, w cierpliwym poszukiwaniu „kozła ofiarnego".

Z tezą tą możemy się spotkać w pismach pisarzy i filozofów niemieckich. Nie wolny jest od niej ani Karl Jaspers, ani Rudolf Pechel, ani Wilhelm Roepke, działający w Szwajcarii emigrant niemiecki o dużym autorytecie politycznym. „Sytuacja Niemiec i Niemców prowadzi coraz to wyraźniej do rezygnacji — pisze redakcja cytowanego miesięcznika jako wstęp do artykułu Walthera von Hollendra — nędza sprawia, że ciągle maleje posłuch dla ludzi dobrej woli. Ludzie nierozumni natomiast sporządzają niebezpieczny rachunek, twierdząc, że zło przez nas wyrządzone już dawno zostało wyrównane przez zło innych".

W dwa lata po wojnie doczekaliśmy się nie tylko podobnych uwag pod adresem „zwycięskich aliantów". Autor wspomnianego artykułu posuwa się nawet do takich insynuacji, że żądania zwycięzców, skierowane do Niemców, tchną „przesadnym nacjonalizmem, bo przepojone są starą, dyktatorską żądzą władzy". W działaniu zwycięzców nie odczuwa się natomiast — zdaniem p. von Hollendra — ani ludzkiej solidarności, ani poczucia sprawiedliwości. Jak więc wyrwać zatwardziałość z Niemców, gdy jest fizyczna nędza i psychiczny ucisk. W jaki sposób ci rozumni spośród Niemców będą mogli sprawić, aby ich naród przejrzał, co to jest zło, i że należy przyłożyć się do naprawy. Uważa się że nie nadszedł jeszcze czas na udzielenie prawdziwej pomocy Niemcom (chociaż byłoby rozsądne, nawet korzystne — jej udzielić); nie możemy pojąć, dlaczego przez głupie uogólnienie i przez osąd zbiorowy (który jednak nie odpowiada rzeczywistemu stanowi rzeczy), nadaje się ogółowi Niemców piętno przestępców, zamyka się ich — jak w ghetcie — i tym samym zamyka się drogę do możliwości moralnego odrodzenia narodu niemieckiego".

Oto jak pojmuje uczony „moralne odrodzenie Niemców" pod koniec 1947 roku. Czyż dziwić się można, że w królestwie mitów mógł dojść do władzy Adolf Hitler?!

Jeżeli takie nastroje nurtują pisarzy i publicystów niemieckich, czegoż możemy się spodziewać po przeciętnych zjadaczach kartkowego chleba?

Gdy w dwa lata po przybyciu do Berlina przejeżdżałem znów Bramą Brandenburską, w stronę lotniska Schönefelde, skąd startują polskie samoloty do Warszawy, pogoda była piękna, po schudnych ulicach spacerowały zakochane pary. W powietrzu była cisza, a w mieście panował spokój. W kinach grano ostatnie szlagiery amerykańskie w Titania-Palast zapowiadano koncert Wilhelma Furtwaenglera z występem skrzypka Yehudi Menuchina. W teatrze na Schiffbauerdamm grano Werfla „Jacobowsky i pan Pułkownik". Dzieci bawiły się na skwerach, a starsi panowie czytali gazety pod pomnikiem Moltkego. Tramwaje z ceglastymi wypiekami dzwoniły na przechodniów. U-Bahn dudnił pod ziemią. Wszędzie było pełno śmiechu, a bywalcy „Ali-Baru" gapili się na polską flagę, która łopotała na błotniku naszego Mercedesa. I nikt nam się już nie kłaniał i nie zdejmował czapki na widok naszych mundurów, jak to było dwa lata temu.

Zresztą, sam zdziwiłbym się mocno, gdyby ktokolwiek z Niemców zdecydował się dzisiaj na ten gest. A przecież jeszcze nie tak dawno zdawało się, że...

Eh! Dość już tych mitów — bo daleko nie zajedziemy!...

Marian Podkowiński

*) Gmach ministerstwa wojny w Berlinie, gdzie zawiązano pucz 20 lipca.

Pisarze chilijscy o Polsce

Kultura Ameryki Łacińskiej nie jest już dla Europy tak dalekim i niejasnym pojęciem, jak to było przedtem. Literatura, a szczególnie poezja tych krajów osiągnęła bardzo wysoki poziom. Dzieła poetów południowo-amerykańskich, tłumaczone na języki europejskie, budzą żywe zainteresowanie, ukazują nowe dziedziny, zdobyte dla poetyckiego widzenia i kształtowania. W ten sposób głębiej sięgająca współpraca między narodami rozszerza i wzbogaca pojęcie kultury o nowe dziedziny, — dotychczas białe plamy na naszych mapach. U nas przewodnikiem tych nowych wartości jest Czesław Miłosz, ogłaszający przekłady współczesnej poezji południowo-amerykańskiej. M. i. w „Odrodzeniu" zapoznał on czytelników z twórczością jednego z najwybitniejszych twórców, chilijczyka Pablo Nerudy. Mieliśmy możność przekonać się, że jest to literatura nie tylko oryginalna, ale i głęboko humanistyczna. Te nowe wartości kulturalne publiczność czytająca w Polsce przyjmuje z zaciekawieniem i sympatią.

Pablo Neruda i jego koledzy — pisarze chilijscy okazują równie żywe zainteresowanie Polsce.

Komitet Patriotów Polskich w Chile zorganizował wśród pisarzy chilijskich ankietę na temat ich stosunku do Polski ludowej. Wypowiedziało się w niej czterech pisarzy. Znany nam już ze swej poezji Pablo Neruda, laureat nagrody literackiej Chile w r. 1945, którego utwory ukazały się również w przekładzie francuskim; bierze on także czynny udział w życiu politycznym swego kraju, broniąc spraw górników z chilijskich kopalń miedzi i saletry — jako senator z ich okręgu. Prócz niego: Augusto d'Halmar, również odznaczony nagrodą literacką Chile z r. 1942, Alberto Romero i Diego Munoz.

Z kulturą Polski współczesnej zaznajamiają intelektualistów chilijskich przede wszystkim takie czasopisma, jak „Cahiers Franco-Polonais" i „Peuples Amis". Komitet Patriotów Polskich w Chile stara się szerzyć wiadomości o Polsce przez dostarczanie tych pism. Prace, zamieszczane w „Cahiers Franco-Polonais", były nawet tłumaczone przez pisarza chilijskiego Diego Munoz, który opublikował w gazecie „El Siglo" przekłady artykułów Stefana Żółkiewskiego i Franciszka Gila.

Stanowisko grupy tych czołowych pisarzy chilijskich wobec dzieła Polski ludowej jest pełne zrozumienia i życzliwości dla wspólnych dążeń, łączących drogi tak odległych krajów: do stworzenia kultury wolnego człowieka, kultury prawdziwie demokratycznych państw.

Poniżej przytaczamy wyjątki tych wypowiedzi.

Augusto d'Halmar mówi o obliczu Polski, jakie poznał z publicystyki „Cahiers Franco-Polonais": „Nie idzie tu już o propagandę nacjonalistyczną à la Paderewski, ale po prostu i wyraźnie o nowoczesną postawę ludu, który wreszcie jest prawdziwym ludem polskim".

Diego Munoz: „Teraz dopiero zaczynamy poznawać Polskę i jej lud z większą dokładnością; zaczynamy poznawać ten kraj, który należy do świata wyzwalającego się i budującego. Teraz widzimy jasno, że jednakowe są walki ludów od jednego końca świata do drugiego, ponieważ jednakowe są problemy, ponieważ ich rozwiązanie jest ważne dla człowieka i dla całej ludzkości. Etap historyczny, do którego doszła Polska dzięki bohaterstwu i politycznej postawie jej ludu, jest tym samym etapem, do którego dążą pragnienia i walka ludów Ameryki Łacińskiej, do którego dąży w uporczywej walce lud chilijski. Głównym celem tej walki jest reforma rolna i rozwój przemysłowy w ramach ustroju demokratycznego bardziej rozszerzonego, bardziej doskonałego i bardziej sprawiedliwego..."

Alberto Romero: „...dla ludzi z niezłomną postawą wobec krwawego dramatu, przeżywanego przez świat — Polska stanowi w tej chwili nadzieję w zwycięskiej walce, którą prowadzi...".

Pablo Neruda: „Chcę pozdrowić nową Polskę, jej intelektualistów i lud. Czytamy tutaj chciwie wszystko, co przychodzi z jej ziemi: wiadomości, oświadczenia, poezje. Nie wszystko to, co czytujemy w pismach, jest dobre, agencje prasowe północno-amerykańskie zawsze muszą coś przekręcić, zawsze muszą na coś warczeć. Agenci utrzymują żelazną kurtynę nad światem słowiańskim. Według nich nie ma nic dobrego w ZSRR, nigdy i pod żadnym względem. Przemilczają po prostu pewne rzeczy, albo podają możliwości. Również wiadomości z Polski, podawane przez ich potężną machinę, są nieżyczliwe i skąpe. — Ale wszystko to na próżno! Od wszystkich ludów płynie niezmierna sympatia dla przemiany Polski po przebytym męczeństwie. Jestem senatorem w pustynnych północnych prowincjach chilijskich. Tam, w pampie saletrzanej, robotnicy kopalń miedzi i saletry, izolowani od świata niezmierzoną pustynią, często zwracają się do mnie i zapytują z zainteresowaniem o Polskę, o jej reformy antyfeudalne, o jej nowego ducha. Staram się odpowiedzieć im, posługując się skąpymi danymi, które do nas dochodzą. — Kończy się izolacja ludów! Nowe prądy przebiegają świat, drżą stare okna Polski i otwierają się. Również w Ameryce powstaje silny ruch, który popierają najlepsi ludzie. Pragnie on zmienić życie naszych zacofanych narodów i otworzyć wszystkie okna, aby powietrze świata weszło do nędznych chłopskich chat i dotarło do zacofanych ludzi przeszłości.—Wiemy, że pochód ludów naprzód odbywa się z trudem, krok za krokiem, pośród wrogości wspólnego nieprzyjaciela, którym jest przeszłość, broniona przez warczące brytany. W północnej Ameryce Hearst jest jednym z tych brytanów, stojących na straży fortecy kapitalistycznej. — Ale pomimo tych brytanów, pomimo ich nocnego wycia, ludy pójdą swoją drogą. Po starych poematach Polski, nastąpią nowe poematy wiary w przyszłość, poematy miłości i jedności, zwycięstwa i pokoju, ziemi i chleba, wielkości i ludu".

jap

Wspomnienie tamtych czasów

Dla sfer rządzących Polską w okresie tzw. sanacji, bezrobocie było zjawiskiem niejako „normalnym". Powstające w związku z tym kłopoty administracyjne próbowano likwidować skarbowymi „zasiłkami", podlewanymi niekiedy chudą filantropijną zupką. Gdy te remedia okazywały się niedostateczne, a tu i ówdzie dawał się słyszeć zbyt głośny protest ginących z nędzy ludzi, uruchomiano aparat policyjnych represyj, które miały gwałtowników przywieść do opamiętania.

Nie mogło dziać się inaczej w ówczesnym systemie gospodarczym, kierowanym i kontrolowanym przez zagraniczne spółki kartelowe. One to decydowały o zamykaniu polskich fabryk i organizowaniu produkcji przemysłowej, one to były potężnymi choć niewidzialnymi władcami losu setek tysięcy ludzi, uwikłanych bezbronnie w sieć kapitalistycznych przeciwieństw i kryzysów.

Obok klęskowego zjawiska bezrobocia, które niszczyło na strzępy tysiące istnień ludzkich, nie mogli jednak przechodzić obojętnie ci, których powołaniem jest budzić i w czujności trzymać sumienie społeczne, a więc pisarze, o wrażliwym sumieniu. Wbrew słyszanym niekiedy opiniom o rzekomo aspołecznym i bezideowym charakterze literatury dwudziestolecia można by wyliczyć sporo nazwisk autorskich i tytułów książek, które świadczą, że problem bezrobocia nie był w literaturze ówczesnej pomijany i zapoznawany. Jednym z takich dowodów jest powieść Janiny Brzostowskiej „Bezrobotni Warszawy", wydana po raz pierwszy na krótko przed wojną, a dziś — w odmiennych już zupełnie warunkach ogólnych — wznowiona*).

Książka Brzostowskiej jest dziś w pewnym sensie dokumentem historycznym epoki, może tym więcej interesującym, że napisanym przez autorkę, stojącą z dala od rozgwaru walk politycznych i predysponowaną raczej, jak świadczy jej twórczość, w kierunku liryki a nie prozy powieściowej. Zresztą „Bezrobotni Warszawy"—ze względu na szczupłość materiału epickiego i pewną schematyczność charakterologiczną — niezbyt ściśle przylegają do formalnych ram powieści. Jest to raczej szereg wyrazistych, dobrze zaobserwowanych i głęboko odczutych obrazów z życia bezrobotnych, które powiązane zostały kompozycyjnie wspólnością wątków tematycznych.

Pisząc o niedoli bezrobotnych, Brzostowska stosuje względem nich miarę serca i rozumu. Dlatego też — mimo że książka pozbawiona jest akcentów społecznej programowości — autorka nie rozwadnia twardych losów swoich bohaterów łezką mieszczańskiej filantropii i taniej czułostkowości. Patrząc tym losom prosto w twarz, ze współczuciem i zrozumieniem, Brzostowska stawia śmiałą, jak na owe czasy, i trafną niewątpliwie diagnozę bezrobocia, dostrzega jego ukryty mechanizm społeczno-gospodarczy i słusznie widzi w bezrobotnych ofiary ustroju, w którym pieniądz jest wszystkim, a człowiek — niczym.

Książka Brzostowskiej nie kończy się jednak krzykiem rozpaczy, ani bezradnym rąk załamaniem. Wśród bezrobotnych — ludzi społecznego marginesu, rodzi się i dojrzewa świadomość przyczyn i źródeł złowrogiej, pchającej na dno istnienia, siły. A z tej świadomości powstaje bunt, płodny i sprawiedliwy, bunt, który zmienia świat, a ludzkiemu życiu nadaje nowy sens i kształt. W r. 1939, gdy książkę Brzostowskiej wydano po raz pierwszy, przemiany i przełomy były jeszcze daleką, mglistą i niepewną perspektywą. Dziś są one już w wielkiej mierze całkiem uchwytną realnością. Do przeszłości powracać jednak czasem warto i należy.

Bolesław Dudziński

*) **Janina Brzostowska.** Bezrobotni Warszawy. Powieść. Warszawa. Stanisław Cukrowski 1947: str. 143 i 1 nl.

Opowiadanie współczesne

STANISŁAW WYGODZKI

NAZWISKO

Zenon miał z rodziną jakieś bliżej mi nieznane porachunki. Przebąkiwano raczej o tym, bo żadna z osób przebywających w jego pobliżu nie mogłaby dokładnie powiedzieć, jakie to są sprawy. Wiedziano tylko tyle, że jego ojciec był przed wojną lekarzem o znacznej sławie, a tylko jedna spośród obecnych osób mogła temu przyświadczyć. Była nią pani K., dawna pacjentka ojca Zenona, która przybyła do obozu w Titmoning z warszawskiej „Polonii". Owszem, znała ojca Zenona, chwaliła jego wiedzę medyczną, mówiła o nadzwyczajnym środowisku, w jakim się Zenon wychowywał, o atmosferze sztuki, jaka panowała w domu jego ojca, ale, gdy ją poznałem bliżej, zorientowałem się, że splendor, jakim otoczyła dom rodziców Zenona, był jej potrzebny dla podkreślenia własnej pozycji towarzyskiej. Była prostaczką, o średniej inteligencji, rażącej nadmiernie wówczas, gdy przytaczała nazwiska artystów i uczonych, których niewątpliwie znała dzięki swemu nieżyjącemu już mężowi, wziętemu przed wojną adwokatowi. Możliwe, że znała bliżej dom ojca Zenona, ale gdy zapytałem pewnego razu o jego matkę, wyczerpała całą sprawę na swój sposób: ach, to nadzwyczajna kobieta. Na czym polegała ta nadzwyczajność, trudno mi powiedzieć, bo miara, jaką stosowała do ludzi, była zawodna. Przekonywałem się o tym wiele razy, a mniemanie moje o jej niewielkiej wartości utwierdziło się, gdy się dowiedziałem, że w obozie źle traktowała swoje współtowarzyszki, kobiety od niej znacznie starsze. Chciała im imponować ciągłym przypominaniem, że jest wdową po byłym adwokacie warszawskim. Kto przeszedł przez obóz, wie, że ten sposób afirmowania swojej wartości był wielce zawodny.

Pani K. była więc jedynym źródłem informacji o Zenonie, bowiem inne osoby z Warszawy już były opuściły obóz i albo wróciły do kraju, albo — jeśli chodzi o Żydów — wyemigrowały do krajów, gdzie mieszkali ich krewni.

Zenona wtedy bliżej nie znałem. Nie szukałem zresztą z nim znajomości. Byłem ogromnie zajęty, mnóstwo czytałem, starając się odrobić sześcioletnie zaległości w lekturze niedostępnej mi w czasie wojny. Pragnę nadmienić, że okazja była wyjątkowa. Przebywałem w B., w strefie okupacyjnej francuskiej w pobliżu Friedrichshafen, w obozie rozlokowanym w czterech domach, stanowiących zaciszny, typowo niemiecki kurort, położony o 5 kilometrów od najbliższego miasteczka. Znacie prawdopodobnie nazwę tej mieściny, wsławiła się bowiem tym, że w jej pobliżu, właśnie obok jednego z naszych domów, w którym się mieścił obecnie obóz, zamordowany został w 1923 roku przez Tillessena, późniejszego adherenta Führera, Erzberger, minister katolickiego centrum. W domach wybudowanych u stóp łagodnego wzgórza porośniętego pięknym lasem było zacisznie. Życie w obozie miało charakter rodzinnej wilegiatury, mieszkały tu bowiem rodziny, często wieloosobowe, internowane w czasie wojny przez Niemców. Byli to obywatele obcy państw wojujących, a częstokroć i nie wojujących, którzy wskutek internowania zachowali w całości wieloosobowy stan. Nie wszyscy, oczywiście. Rodziny B. i M., które poznałem w obozie, zanim wyjechały do Titmoning, pierwszego obozu internowania, skąd je pod koniec wojny skierowano do Laufen, straciły swoje dzieci niemal w przeddzień internowania. Niemcy pomyśleli, że skoro nie można zgładzić całej rodziny chronionej przez jakiś Urugwaj czy Paragwaj, to można ją i należy przynajmniej okaleczyć. Zabicie dzieci internowanych, to było właśnie odcięcie ręki lub nogi.

Korzystałem z tego zacisza przerywanego jedynie dzwonkiem wzywającym na posiłki, resztę czasu spędzałem na czytaniu w pokoju lub w lesie, w którym, na wzór wszystkich lasów niemieckich, ustawiono wygodne ławki. Wystarczyło oddalić się od domu o kilkanaście kroków, a już zaszywałem się w ostep, gdzie mogłem, przez nikogo nie nagabywany, godzinami czytać w skupieniu.

Zenona widywałem w czasie posiłków. Siedział w moim pobliżu, przy jednym stole z Marion, Francuzką, i panią de O., której towarzyszyła piękna córka, malarka. Rozmawiali po angielsku lub francusku, ale były to typowe rozmowy towarzyszące szybko spożywanym posiłkom, które poza elegancją serwisu niczym nie nęciły. Wina były liche, jakiś jednoroczniak, przypominający smakiem domowe wina, trącące nalotem drożdży, puddingi przypominały rozwodnioną, rozbitą śmietanę.

Wyznaję, że obserwowałem ten stół. Pani de O., mimo podeszłego wieku, ubierała się elegancko, ciągle wywlekała jakieś jedwabie zdobne w koronki, prawdopodobnie z wczesnych początków naszego wieku, kiedy miała 20 lat. Jej córka, niemłoda już, zachowała jednak jakąś figlarność młodzieńczą, która cechuje panny, przebywające w towarzystwie artystów. Była wiotka, a w rozmowie bez wysiłku zdobywała się na dowcip niewątpliwie inteligentny, ale który raczej świadczył o zmyśle humoru. Aby nas rozbawić, mogła ku zgorszeniu pani de O., w czasie wieczorku tanecznego pierwsza poprosić mężczyznę do tańca, a to nas właśnie bawiło. Staruszka wracała do konwenansu, z którego córka szydziła. Marion, towarzysząca im przy stole, była najpiękniejsza. Cerę miała matową, co podkreślały czarne, lśniące włosy, w które wpinała jakiś wymyślny czerwony grzebyk. Jednakże sądzę, że nie tylko moją uwagę, ale wszystkich zwracał w tym zespole kobiet Zenon. Był rosły, tęgi, chód miał ociężały. Była w nim jakaś senność, która zapewne wynikała z nadmiernej, jak na jego wiek, tuszy. Należał raczej do ludzi milczących i dziwiłem się, czemu wybrał właśnie towarzystwo kobiet, które nie przestawały mówić. Możliwe, że go oceniam fałszywie, a to dlatego, że przykładałem do niego miarę mojego zniecierpliwienia, które mnie wtedy trapiło, gdy ktokolwiek z otoczenia pragnął nawiązać ze mną rozmowę. Wiedziałem, że będę musiał tracić czas, prawdopodobnie niepotrzebnie, bo czekały mnie ciągle gazety i książki nadsyłane z różnych stron.

Z Zenonem nie wypadło mi nigdy mówić. Napomykano raczej o nim, mimo że sam nie stwarzał powodów ku temu. Nie był przedmiotem czyjegoś szczególnego zainteresowania. Poza posiłkami nie widywałem go, a i w lesie, przez który rodziny przechodziły z pohukiwaniem, też go nie spotykałem. Widocznie przesiadywał w swoim pokoju — samotny. Nie towarzyszył nigdy spacerom Marion ani córce de O.

W końcu czerwca odwiedził mnie porucznik D., którego przedtem nie znałem. D. miał polecenie poinformować się o stanie mego zdrowia i ewentualnie załatwić sprawy związane z moim powrotem. Miał mnie w tym celu skomunikować z naszą misją w Monachium, ustalić termin, wyznaczyć miejsce w pociągu sanitarnym. Smukły, wysportowany i młodzieńczy zwrócił swoją obecnością uwagę Polaków przebywających w naszym obozie. Obstąpiono go, nagabywano, dopytywano o szczegóły, o kraj. Ludzie mówili o sprawach, które niewątpliwie dotyczyły polityki. Nie wiem, rozmyślnie czy nie, ale w tym miejscu zabrał głos leader obozu, który mu zwrócił uwagę, że w obozie nie wolno uprawiać agitacji politycznej. Porucznik D. zakończył zatem rozmowę, prosząc o umożliwienie mu noclegu. Przygotowano mu pokój, ale o zmierzchu, gdy się dowiedział, że w bibliotece znajduje się pianino, zaproponował urządzenie małego koncertu. Zgodziłem się chętnie, zwłaszcza że miał grać Chopina i jedną z sonat Beethovena. Dla tych, którzy kochają muzykę, dodam, że sceneria towarzysząca temu koncertowi była wyjątkowa, co podnosiło jego urok. Siedzieliśmy w niewielkiej sali przy otwartych oknach. Przekwitające kwiaty magnolii, ogromne i rozsypujące się, zaróżowiły się w świetle wschodzącego księżyca, łagodnym i mroźnym, i nastrój spokoju udzielający się słuchaczom niechybnie wpłynął również na pianistę. Rozejrzałem się po bibliotece. Przybyli wszyscy Polacy, nie było tylko Zenona. W kącie dostrzegłem małą Jadwisię Szarskich, która powinna była już spać. W drzwiach stał jej ojciec. Spotkałem się z jego wzrokiem; odwróciwszy głowę ku hallowi, wskazał mi ciemne schody. Podszedłem ku niemu cicho i wtedy mi szepnął:

— Czy ten porucznik z Warszawy?

Ująłem go pod ramię i wyszliśmy, aby nie przeszkadzać grającemu.

— Tak, poznaje pan chyba po mundurze.

— To ja wiem, że nie londyńczyk. Mnie chodzi o to, czy mieszka w Warszawie.

— Wie pan, ja tego naprawdę nie wiem, znam porucznika zaledwie kilka godzin, ale czemu pan pyta?

— A, bo Zenon chciał wiedzieć.

— Niech więc przyjdzie i zapyta.

Wróciłem do biblioteki. Porucznik D. kończył preludium C-moll, które pragnąłem usłyszeć, i poprosiłem, aby je powtórzył. Uległ prośbie, ale w momencie, gdy rozległy się najpiękniejsze ciemne, głębokie basy, koło drzwi powstał szmer. Spojrzałem w tamtą stronę. Zenon, na wpół zasłonięty postacią Szarskiego, przechylał głowę, by spojrzeć ku grającemu. Obserwowałem go. Spoglądał ku pianiście jak człowiek, który pragnie się upewnić, czy zna napotkanego. Nie wiem, co go przekonało, bo usunął Szarskiego i wszedł. Przesunął się koło okna i siadł w kącie, złożywszy ciężkie dłonie na kolanach. Potem się dowiedziałem, że nie zna porucznika D.

Nazajutrz porucznik wyjechał, a w obozie rozpoczęły się rozmowy na temat powrotu do kraju. Stałem się ośrodkiem zainteresowania, wyznam niewielkiego, bo chętnych do powrotu było niewielu. Jak już wspomniałem, w naszym obozie przeważały osoby posiadające obywatelstwo obce, które zamierzały wracać do krajów, skąd przyjechały do Europy przed wybuchem wojny. Dotyczyło to również Polaków obywateli amerykańskich i brazylijskich i wówczas dowiedziałem się, że i Zenon jest obywatelem USA, urodził się bowiem w Detroit, gdzie czas jakiś mieszkali jego rodzice. Kiedy opuścił Amerykę i wrócił do kraju, miał trzy miesiące. Fakt ten uratował mu zresztą życie. Według opowieści Szarskiego, Zenon okazał Niemcom posiadane dokumenty, stwierdzające jego obywatelstwo, ci zaś nakazali mu natychmiast stawić się w urzędzie z paczką bielizny i ubrań, aby go internować. Wrócił też natychmiast obładowany, aby przejść kwarantannę w jednym z hoteli warszawskich, gdzie natknął się na gromadę Żydów, od których go zaraz odseparowano.

Wyznaję, że ten okres życia Zenona był dla mnie przez długi czas niejasny, lecz również obecnie, gdy go poznałem bliżej, niewiele wiem więcej. Również Szarski nie mógł mi powiedzieć, kiedy, w jakim okresie warszawskich wydarzeń, udał się na Szucha, aby się pozwolić internować. Poza tym Zenon niewiele mnie interesował i nie miałem powodu dopytywać o szczegóły.

Jak już wspomniałem, rozpoczęły się rozmowy na temat powrotu, ale Zenon nie brał w nich udziału. Okazało się, że jako Polak — obywatel amerykański pragnie pojechać do USA i wypełnił już nawet odpowiednie formularze. Posiadał metrykę wystawioną w Detroit — jego obywatelstwo było bezsporne.

Wspominam o tym, ponieważ pani K., wybierająca się w daleki świat, straciła cechujący ją spokój. Okazało się, że konsulat paragwajski w Paryżu nie chciał uznać jej obywatelstwa, uzyskanego w czasie wojny w Warszawie, w korytarzach hotelu „Polonia". Zenon był spokojny.

Nie wiem, co spowodowało, że nagle pani K. zaczęła mówić o Zenonie, o którym do tej pory milczała, a jeśli wspominała, to raczej w związku z domem jego rodziców. Prawdopodobnie poczucie jakiejś krzywdy zmusiło ją do wyłożenia całej sprawy pani de O. Było już po obiedzie i Zenon właśnie pożegnał swoje panie, którym towarzyszył przy stole. Słyszałem tę rozmowę, ale nie powiedziałbym, że mimo woli. W relacji pani K. uderzył mnie pewien szczegół, który dla niej stał się podstawą skargi przeciwko całemu światu. Gdyby ona — mówiła — miała rodziców, ojca i matkę w Warszawie, podobnie jak Zenon, nie myślałaby o żadnym wyjeździe, nie pokazywałaby, ona, żona prawnika, w urzędach sfałszowanych dokumentów, bo to niegodne i mało odpowiadające jej pozycji społecznej, zwłaszcza obecnie, po zakończeniu wojny, gdy fałszywy dokument kompromituje jego właściciela. Ale czemuż to Zenon, którego dokumenty są wprawdzie w porządku, ale który ma rodziców w Warszawie — ciągle podkreślała z naciskiem — ojca i matkę, ojca lekarza, tak znakomitego lekarza, u którego ona się leczyła, czemuż to — zaperzona niemal, krzyczała — on chce jechać do Ameryki, którą opuścił, pomyślała chwilę, chyba 28 lat temu, gdy miał trzy miesiące.

Istotnie Zenon powinien był już dawno wrócić do kraju, bo cóż go wiązało z dalekim Detroit, które był opuścił oseskiem? A matka? A ojciec? Sprawa ta uderzyła mnie tym więcej, że pozostałem sam i nie mogłem się pogodzić z myślą, że ktoś posiadający rodziców nie chce do nich wrócić, po latach i to po jakich latach!

Wspomniałem już, że o Zenonie informowała jedynie p. K. W jakim żył odosobnieniu, może zaświadczyć St. D., autor książki o okolicach jeziora bodeńskiego, gdzie był również internowany. Gdy po powrocie do kraju zapytałem go, czy przypomina sobie Zenona, potrafił go jedynie niejasno określić, mimo że przesiedział z nim kilka miesięcy w jednym domu.

Ale czemu pani K. mówiła o sprawie Zenona z kobietami, którym towarzyszył przy stole? Zenon zamierzał jechać do Detroit, Marion wracała do Paryża, pani de O. z córką do Brazylii, sama pani K. była nie pierwszej młodości, co więc nią kierowało, że zabierała głos w sprawie, zdawałoby się, jej obojętnej? Zauważyła, że patrzę w jej stronę. Pożegnała kobiety i podeszła do mnie.

— Proszę pana, to niesłychane. Zenon chce jechać do Detroit, a w Warszawie ma ojca i matkę.

Milczałem. Po co mnie mówiła o tym? Przecież wiedziała, że w w tym konflikcie musiałem pozostać na uboczu, daleki, obojętny, pozbawiony odwagi posłużenia się argumentacją, jakiej ona użyła: gdybym ja miał ojca i matkę... Znałem historię śmierci jej rodziców i ja miałem swoją historię, po co mi więc ten Zenon, jego rodzice, lament pani K.?

Zdaje się, że już wspomniałem o tym, że w owym czasie unikałem ludzi, niestety kilkugodzinny pobyt porucznika D. w obozie, a raczej u mnie, sprawił, że ludzie zaczęli się do mnie garnąć. Początkowo byłem z tego niezadowolony, przeszkadzało mi to w pracy, odwiedzali mnie bowiem w porze najmniej odpowiedniej, np. tuż po obiedzie, kiedy pragnąłem snu po nocy spędzonej na pisaniu. Kiedy jednak pojąłem, że ludzie ci szukają mojej pomocy, kiedy zrozumiałem, że sprawy, z którymi przychodzą, trapią ich i niepokoją, począłem na nich patrzeć inaczej. Zainteresowała mnie szczególnie rodzina Szarskiego, również urodzonego w USA, które był opuścił ze swymi rodzicami, gdy miał 5 lat. Mieszkał pod Krakowem, gdzie jego rodzina przebywa do tej pory, jego samego zaś wraz z żoną i czworgiem dzieci Niemcy internowali 12 stycznia 1945 r., a więc na kilka dni przed uwolnieniem kraju. Z Krakowa powieźli ich na Wiedeń, Augsburg do miasteczka B., dokąd uprzednio przewieziono internowanych z Laufen. Szarski nie wiedział, co ma robić. Po uwolnieniu zgłosił władzom okupacyjnym, że jest obywatelem amerykańskim i że pragnie pojechać do USA. Przedłożył swoje dokumenty, ale sprawa wyjazdu przedłużała się niepomiernie, bo okazało się, że Stacha, żona jego, wraz z dziećmi urodzonymi w Polsce, musi długo czekać na wyjazd, ponieważ departament stanu nie kwapi się z wpuszczeniem rodziny Szarskiego, która nie posiadała obywatelstwa amerykańskiego. Szarski był cieślą, w kraju czekała go praca i doskonałe zarobki, czemu więc zamierzał jechać do USA, skąd wyjechał 40 lat temu?

— A widzi pan, Zenon mnie namawia. Powiada, że do kraju nie warto wracać, bo tam wszystko zniszczone.

Przerwałem mu:

— Właśnie dlatego powinien pan wrócić. Cóż pana czeka w USA? Przecież w kraju, z pańskim zawodem, nie będzie pan zdany na nikogo. W Ameryce nikt na pana nie czeka, nie zna pan języka, ma pan podrastające dzieci, którym grozi wynarodowienie.

— A nie jest tak. Nie wie pan, że Zenon jest ojcem chrzestnym mojego Janusza? — był to najmłodszy syn Szarskiego. — Zenon jedzie z nami, on zna angielski i będzie ze mną pracował.

— Jak to? Czyżby był cieślą? To przecież syn lekarza.

— Tak, ale on się nauczy.

Nie wiem, czy podchwycił mój wzrok, w którym było politowanie. Powiedziałem:

— Czy sądzi pan, że ten 28-letni człowiek, nie obarczony rodziną, przyzwyczajony do wygodnego życia, zostanie robotnikiem tylko dlatego, aby panu pomagać, pańskim dzieciom, i na domiar zdoła utrzymać siebie? Przecież samą znajomością języka angielskiego nie podoła temu wszystkiemu.

Szarski milczał.

— Poza tym — ciągnąłem — przecież Zenon ma w Warszawie ojca i matkę, czemu nie wraca do nich?

— Nie wiem. Zenon mi nigdy o nich nie mówi, ale wie pan, ja się dziwię, czemu zostawia w kraju rodziców samych. Nie są już chyba tacy młodzi.

— Może jakieś względy — wahałem się chwilę — może względy polityczne powstrzymują go od powrotu?

— Gdzie tam, panie! Jaki tam z niego polityk. Taki, jak ze mnie. Ja chcę do Ameryki, bo tam podobno łatwiej, kraj nie zniszczony, a zresztą — machnął ręką — może źle robię.

Wiedziałem, że Zenonem nie kierują względy natury politycznej. Wspomniałem już o tym, że żył w odosobnieniu, nie stykając się z nikim bliżej, nie ulegał więc niczyim widocznym wpływom, ani nie starał się wpływać na kogokolwiek. Wiadomość o nakłanianiu Szarskiego do wyjazdu, która mnie raczej zdziwiła, przyjąłem jako wiarygodną, bo słyszałem ją od samego Szarskiego.

W tym czasie nastąpiło moje pierwsze spotkanie z Zenonem. Dzień był deszczowy, ale pod wieczór, gdy się wypogodziło, wyszedłem przed dom. Minąłem krzewy okalające obóz i zmierzałem ku ogrodzeniu, za którym były kabiny służące do kąpieli słonecznej. Trzeba było przejść niewielki mostek, aby wydostać się na polną dróżkę, ale na mostku stał Zenon. Płaszcz chroniący przed deszczem miał przewieszony przez ramię, a gdy się zbliżyłem, postąpił naprzód, aby mi umożliwić przejście.

— Dziękuję panu, myślę, że mimo naszej tuszy, jednak znajdzie się przejście.

— Wolę nie ryzykować — uśmiechnął się — mostek się jeszcze załamie.

— Może ma pan rację.

Wyciągnąłem rękę.

— Sądzę, że pora już zawrzeć znajomość.

Wymieniłem mu nazwisko, ot tak, gwoli przyzwoitości, bo niewątpliwie je znał, ale ze szczegółów, przytoczonych przeze mnie o osobach i trybie życia w naszym obozie, wiecie, że i w tym wypadku należało dopełnić formalności obowiązujących w tzw. towarzystwie.

— Co słychać u pana, podobno pan jedzie do USA?

—Tak, a skąd pan wie o tym?

— Czy to tajemnica? Przecież głośno się o tym mówi.

— Tak, jadę. Otrzymałem właśnie dziś pismo z konsulatu w Stuttgarcie. Pewnie uzyskam na tej podstawie od władz francuskich przepustkę na przejazd do strefy amerykańskiej, gdzie chyba mi dadzą jakieś formularze do wypełnienia.

— A to szczęściarz z pana. Bo Szarski nie tak szybko pojedzie.

— No tak, u niego sprawa skomplikowana, on jeszcze zaczeka, ale i ja postaram się odwlec wyjazd, bo pojedziemy razem.

— Ale, zdaje mi się, że pan ma kogoś w Warszawie, zdaje się rodziców?

Spojrzał na mnie z ukosa, ale podchwyciłem to spojrzenie. Spostrzegł, musiał więc odpowiedzieć.

— Tak, mam rodziców, ale rodzice radzą, abym nie wracał.

— Czemuż to? Czy jakieś względy polityczne nakazują im tak panu radzić?

— Nie, moi rodzice nie zajmują się polityką, a mają nawet przyjaciół wśród sfer rządowych w kraju.

Tu wymienił mi nazwisko doktora F., posła R.P., zaprzyjaźnionego z jego domem.

— Co pan powiada? To świetnie! Znam doktora F. z Oświęcimia, to pan rzeczywiście go zna?

— A jakże. Znam jego żonę, synów, mieszkaliśmy w jednym domu.

— No, widzi pan. Powinien pan wrócić. Ma pan rodziców, przyjaciół. Wie pan, pani K., która mi mówiła o zamiarach pana, zupełnie słusznie się oburzała, gdy się dowiedziała, że pan nie zamierza wracać do Warszawy.

Widziałem, że na brzmienie nazwiska pani K. Zenon się skrzywił. Machnął ręką:

— Co tam pani K. Nie warto o niej mówić.

Znów machnął ręką, jakby chciał ją usunąć z pola naszego widzenia.

O pani K. nie byłem wysokiego mniemania, ale na lekceważenie nie zasłużyła. Przypomniałem mu, że straciła męża, który — gdyby dożył końca wojny — mógłby pokierować jej życiem i kobieta ta nie miałaby żadnych kłopotów. Napomknąłem o córce i zięciu, którzy zginęli w Warszawie z rąk niemieckich.

Zamilkł, ale inaczej aniżeli wówczas, gdy człowiek milczy — przekonany. Zamilkł, jak człowiek, któremu brakło tchu.

W kilka dni później, po obiedzie, powiedział mi, że już złożył papiery i pewnie otrzyma przepustkę umożliwiającą przejazd do strefy amerykańskiej. Zapytał, czy mógłby coś dla mnie załatwić. Uradowałem się. Pragnąłem nabyć kilka nowych książek, które się ukazały, a których nie mogłem kupić w naszej strefie. Były to nowe powieści Hemingwaya i opowiadania Steinbecka oraz reportaż Herseya. Zanotował to wszystko i przyrzekł książki zakupić. W dwa dni później wyjechał.

Nie pamiętam, czy wspomniałem już o tym, że siedziałem w owym czasie nad nowymi pracami, przeważnie o charakterze przyczynkarskim, na temat wojen chłopskich w Niemczech. Zainteresował mnie udział malarza i rzeźbiarza Matthäusa Grünewalda w rewolucji chłopskiej, zwłaszcza że poznałem właśnie libretto opery Hindemitha, wystawionej po raz pierwszy po wojnie. Zainteresowania moje tym bardziej się zaostrzyły, że właśnie znajdowałem się na terenie najczęstszych walk chłopskich, że drogi, którymi chodziłem, przemierzali przeszło czterysta lat temu nie tylko chłopi z „Bundschuh", ale również Luter i Melanchton, a w pobliskim Augsburgu i niedalekiej Konstancji rozegrały się wypadki ogromnej wagi historycznej. Spotkałem się nawet ze zdaniem, że gdyby się ta rewolucja udała, rozwój Niemiec potoczyłby się inaczej, tak dalece, że dzieje Niemiec ostatnich 70 lat nie wpłynęłyby tak fatalnie na ukształtowanie się dziejów Europy. Mój pobyt w tych okolicach zamykał niejako ogromnym łukiem tamtą nieudałą rewolucję z ostatnią przegraną.

Wybrałem się zatem na krótką wycieczkę. Była pełnia lata i przyjemnie było pieszo lub koleją udać się do bliższych lub dalszych miejscowości, których nazwy napotkacie w pracy Engelsa. Nazwy miejscowości nie zmieniły się zresztą od czasu tamtych wydarzeń i dotychczas spotkacie jeszcze historyczne Buchhorn i Radolfzell. Ten autentyk, zwłaszcza dla obcego, ma coś odświeżającego. Nęciła mnie szczególnie Konstancja. Zapragnąłem ją ujrzeć raz jeszcze, romantyczną i średniowieczną, z wąskimi ulicami i niewielkimi domami, które się usadowiły nad Dunajem i jeziorem bodeńskim. Oczywiście wtedy trzeba było zapomnieć o ludziach, zamieszkujących te domy.

Wyjechałem z B. pod wieczór, aby przenocować w Konstancji i mieć przed sobą wolny cały następny dzień. Na dworcu we Friedrichshafen wysiadło kilka osób, które się rozeszły szybko, a ja powlokłem się ku przystani. Minąłem zupełnie rozbite w ostatniej wojnie zakłady Zeppelina, mój statek odchodził późno, nie musiałem się spieszyć i przyglądałem się potwornym kikutom maszyn sterczących spod gruzów. Nad jeziorem unosiła się już mgła wieczorna, biaława, wilgotna i chłodna. W palarni zająłem miejsce przy pustym stoliku i sięgnąłem po gazetę. Jacyś Niemcy obok rozprawiali o polityce, oczywiście byli niezadowoleni, oczywiście wiązali swe nadzieje z wojną, która będzie, która być musi, pomstowali na obcokrajowców, którzy ich objadają wówczas, gdy sami nic nie posiadają. Jasne, że nie zwracałem na nich uwagi, znałem już bowiem te pogaduszki. Nosili jeszcze nasze ubrania, naszą bieliznę, zegarki pochodziły z naszych domów, a konserwy, które wyciągali w domu, pochodziły z Węgier, Francji, Holandii. Statek lekko drżał, chwilami ryczała syrena i maszyna nagle powstrzymywana głucho dudniła, jakby napotkała na pustkę. Dobijaliśmy wtedy do brzegu, czułem jak bok statku ociera się z chrzęstem o obelkowanie mola, słyszałem suchy łoskot ruchomego pomostu, który podjeżdżał do statku, aby umożliwić wyładowanie bagażów, rowerów, wózków. Była dziewiąta wieczór, ale opadała mnie senność spotęgowana miarowym kołysaniem się statku, który znów się wdzierał w mgłę. W Konstancji udałem się do hotelu „Pod Złotą Kotwicą", obskurnego i niechlujnego, ale gdzie właśnie dlatego zawsze było można otrzymać pokój. Wszedłem do hallu, który był piwiarnią i salą bilardową zarazem. Nikogo nie było. Zalatywało mdłą fryturą, odorem piwa i taniego tytoniu. Dziewczyna, która mnie przywitała, była senna, oderwała się od statków, które zmywała w ciemnym kącie, nie opodal szynkwasu. Był wolny pokój. Oczywiście, mogę go wynająć, i poprosiła o dokumenty, aby wypełnić formularz meldunkowy. Powiedziałem jej:

— Proszę, ja to wypełnię, mam cudzoziemskie nazwisko i to pewnie sprawi pani trudność.

Podsunęła mi blok i gdy odwracałem kartę, aby wypełnić formularz, spostrzegłem kartę wypełnioną nazwiskiem i imieniem Zenona. Ukrywając zdumienie zapytałem:

— Czy ten pan jeszcze jest?

Pokazałem dziewczynie odcinek karty, na którym widniało nazwisko Zenona.

— Już tu jest od dwóch dni. Zapłacił za 6 dni.

Poczułem się zażenowany. Po cóż to Zenon posługuje się wobec mnie kłamstwem? Przecież sam się zwracał do mnie z zapytaniem, czy może mi coś załatwić w strefie amerykańskiej, do której — jak się obecnie okazuje — wcale nie pojechał. W wypadkach podobnych do opisanego nie zwykłem się dziwić. Nic nie obowiązuje ludzi do szczerości, zwłaszcza gdy są to ludzie znający się przelotnie, ale obecnie było mi przykro, bo naprawdę nie wiedziałem, czym zasłużyłem, aby Zenon mnie okłamywał. Jakiż mógł więc mieć cel w ukrywaniu istotnego kierunku podróży? Wspomniałem o zażenowaniu, bo i ono istniało, wydawało mi się bowiem, że mimo woli stałem się świadkiem jakiegoś krętactwa Zenona, które chciał przede mną ukryć, stworzył bowiem pozory wyjazdu, który mnie naprawdę interesował o tyle tylko, o ile mógł mi w wyniku przysporzyć kilka potrzebnych książek. Zastanawiałem się nawet przez chwilę, czy mam na noc pozostać w hotelu, w którym i on zamieszkał, bo przypadkowe spotkanie mogło i jego wprawić w zakłopotanie. Zostałem jednak, bo w końcu cóż mnie mogło obchodzić, czy Zenon pojechał do Stuttgartu, czy w kierunku zgoła przeciwnym?

Dziewczyna wręczyła mi klucz i udałem się do swego pokoju. Wypadło mi zamieszkać na trzecim piętrze, niższe bowiem zostały już zajęte i gdy z mrocznego korytarza wszedłem do pokoju, uderzyła mnie jasność księżycowa światła, które legło kwadratem na podłodze. Okno było otwarte. W nieruchomym powietrzu tkwiły za oknem wierzchołki smukłej akacji, której listki wydawały się jakby wycięte z lśniącej, twardej skóry. Spojrzałem w dół. W wąskiej studni mroku, drążonej wśród kamieniczek, blask oświetlonych okien wykrawał z ciemności romby poprzecinane wydłużonymi niepomiernie, przesuwającymi się cieniami ludzi, sposobiących się do snu. Na ulicy Rybaków, której stromy fragment wybiegał za dachami domów, było cicho. Biegła ku przystani cichej już, późnej i ciemnej, gdzie chybotliwie płonęła czerwona latarnia boi. Nie widziałem, lecz w ciszy podchwyciłem szum wachlarza rozległego jeziora.

(Dalszy ciąg w nast. numerze)

List z Katowic

W TEATRACH KATOWICKICH



Marian Jastrzębski (Trębacz) i Wł. Krasnowiecki (Igor Bułyczow)

Trzy miesiące sezonu teatralnego na Górnym Śląsku nie przyniosły poważniejszych zmian w obrazie życia teatralnego, jaki utrwalił się po sezonie ubiegłym. Tyle tylko, że niektóre obawy, wyrażane na początku, zostały rozwiane, inne natomiast znalazły potwierdzenie.

Znikł przede wszystkim pesymizm w stosunku do Państwowego Teatru w Katowicach. Po skleconym naprędce na nowo „Śnie nocy letniej", który traktować należy jako próbę dosyć przypadkowo zebranego zespołu, teatr ten dał już dotychczas cztery premiery. Okazało się, że nie jest to scena gorsza od tej, którą w znacznie lepszych warunkach, przede wszystkim aktorskich, stworzył Bronisław Dąbrowski. Ujrzeliśmy więc Rittnera „Głupiego Jakuba", Bogusławskiego „Krakowiaków i górali", Fredry „Śluby panieńskie" i w końcu pierwszą od r. 1945 sztukę rosyjską, Maksyma Gorkiego „Jegora Bułyczowa". Oceniając je razem jako pierwszy etap pracy z takim trudem zmontowanego teatru, poczuwam się do obowiązku zwrócenia uwagi na wysiłek, który został w nie włożony. Gdy w poprzednim roku liczny zespół nie był w pełni wykorzystywany nawet przy dwu scenach, tak że niektórzy aktorzy czy aktorki pokazali się na scenie tylko po dwa razy przez sezon, co dla kilku młodych a zdolnych sił oznaczało po prostu zmarnowanie roku, teraz cały zespół dwoi się i troi, pracuje nieustannie, bez przerwy gra i produje.

Cztery wymienione sztuki przygotowało dwóch reżyserów, przy czym każdy z nich grał zarazem w każdej z reżyserowanych przez siebie sztuk czołową lub główną rolę. Można nawet powiedzieć, że wysiłek tych trzech miesięcy był zbyt duży, co odbiło się na poziomie ogólnym czwartej z kolei premiery „Bułyczowa", gdzie zawiodły już drugoplanowe role i reżysersko-inscenizacyjne szczegóły spektaklu. Nic też dziwnego, że dopiero w drugiej połowie listopada zdobył się teatr na wznowienie przedstawień na Małej Scenie.

Ze wspomnianych dwóch reżyserów Wiktor Biegański wziął na siebie sztuki kameralne. Przygotował bardzo starannie „Głupiego Jakuba", sam grając rolę Szambelana, a następnie „Śluby panieńskie", w których wystąpił jako Radost. Obydwa przedstawienia stały na wysokim poziomie wykonania, nosiły cechy reżyserskiej kultury i inwencji, ukazując widzowi zarówno Rittnera jak i Fredrę w doskonałym wydaniu. Oglądało się je z prawdziwą satysfakcją tym bardziej, że przyniosły godne zapamiętania kreacje aktorskie: Szambelana Biegańskiego, Klarę młodej, utalentowanej aktorki Krystyny Kmiecikówny i Albina Mieczysława Jasieckiego. Władysław Krasnowiecki podjął się dwóch pozostałych sztuk, które w różnym wprawdzie stopniu, ale stawiają reżyserowi duże wymagania ze względu na wielką i różnorodną obsadę. „Krakowiacy i górale" zaimponowali Śląskowi nie mniej od „Wieczoru trzech króli" wystawionego w r. 1946 przez Dąbrowskiego; zjednali teatrowi uznanie i sympatię świetnym wykonaniem ról, sprawnością reżyserii, stroną dekoracyjną i kostiumową, a i strony choreograficznej na ostatnim miejscu stawiać nie należy. „Jegor Bułyczow" wyróżnił się znów rolami samego Bułyczowa (Krasnowiecki), Kseni (Cieszkowska), Aleksandry (Krasnowiecka) i Melanii (Jabłonowska).

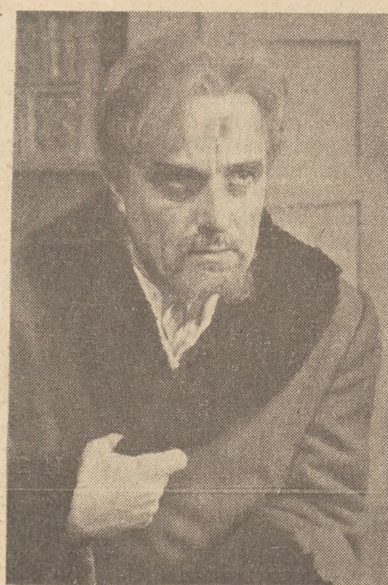


Scena z „Krakowiaków i górali"

Wszystko to sprawiło, że teatr katowicki w ciągu pierwszych miesięcy sezonu odzyskał sympatię swego środowiska i jego zaufanie, zachwiane wypadkami, jakie zaszły w czasie od czerwca do września br. Jak dotychczas widzimy w nim nie tylko ambicję kontynuacji najlepszych tradycji trzech poprzednich sezonów, lecz również i dążenie do pomnożenia dorobku.

Do obaw, które znalazły w pewnym stopniu potwierdzenie, zaliczyć chyba przyjdzie losy teatrów w Sosnowcu i Opolu. Sosnowiec zaczął dobrze „Świętoszkiem" z Bujańskim, Niedźwiedzką i Zawiszanką. Kłopoty zaczęły się dopiero przy prapremierach: słabiutkiej „Ojczyźnie" Morozowicz-Szczepkowskiej i jeszcze słabszym „Końcu świata" Bakala. Jako ratunek poszedł lżejszy kaliber, ograny już na wszystkie strony: „Matura" „Cień". O teatrze opolskim warto by napisać osobno.

Potwierdziły się horoskopy co do teatru Stanisława Kwaskowskiego, obsługującego Podbeskidzie na linii Cieszyn—Bielsko—Żywiec. Zaczął doskonale „Sułkowskim" a zamyka omawiany tu okres bardzo dobrym przedstawieniem „Grubych ryb". W środku jest „Trasa" Barnasia i prapremiera komedii historycznej o tematyce zaczerpniętej z dziejów Piastów śląskich, „Dziki książę" Kazimierza Gołby. Sukces frekwencyjny niewielki, ale ten teren nie jest łatwy. Żywiec i Cieszyn to cztery wyjazdy w miesiącu, więc z frekwencją nie ma biedy. Ale w stałej siedzibie teatru, w Bielsku, jest już gorzej. Bielsko dopiero przyzwyczaja się do stałego i dobrego teatru razem ze swoim bliźniakiem Białą Krakowską. Ten wielki ośrodek przemysłowy nie zasila jeszcze teatru odpowiednią ilością widzów. Robotnicy to w przeważnej części element pół-wiejski, mieszkający poza miejscem pracy, śpieszący z warsztatu i fabryki na rowerze lub koleją czym prędzej do domu, do zajęć gospodarskich. Skarżył mi się jeden z przedsiębiorców, że jego robotnicy nie wykorzystują nawet biletów do teatru, które daje im bezpłatnie. Wskazuje to na konieczność szeroko prowadzonej akcji kulturalnej w szeregach robotniczych. Tymczasem w pewnym stopniu ratuje teatr młodzież szkół średnich.



Wł. Krasnowiecki

Z tej właśnie młodzieży zdaje się wyrastać już element ceniący i lubiący teatr. Mówi o tym jej piękny udział w niedawnym jubileuszu 30-stolecia pracy scenicznej dyrektora St. Kwaskowskiego. Młodzież ta wystąpiła z gratulacjami dla jubilata razem z przedstawicielami „starszego pokolenia", a jedna z delegacji złożyła nawet dar na Dom Aktora. Był to wzruszający dar. Uroczystość ta pokazała również, że Bielsko ma już grono ludzi związanych z tym teatrem serdecznymi węzłami. Są z niego dumni i troszczą się o jego losy. Dlatego można mieć wiarę w rozwój tej sceny, która musi z czasem zdobyć i robotnicze Bielsko. Musi zdobyć, bo pracuje systematycznie, we wspaniałej atmosferze, pod niezawodnym i ofiarnym kierownictwem niedawnego jubilata, bo jej rezultaty artystyczne znalazły już ogólnopolskie uznanie. Teatr bielsko-cieszyński to drugi nie „po", lecz obok katowickiego dobry teatr na Śląsku. Skromniejszy, znacznie mniej zasobny, ale nie ustępujący mu w ambicjach. Zestawienie takich przedstawień jak „Sułkowski" i „Grube ryby" w Bielsku z „Bułyczowem" i „Głupim Jakubem" w Katowicach potwierdza to spostrzeżenie.

Ale Śląsk wart jest, by miał tak samo dobre teatry w robotniczym Zagłębiu Dąbrowskim i na Opolszczyźnie. Ilościowo mamy teatrów dość, ale dobrych teatrów mamy za mało.

Zdzisław Hierowski

O realizację ustawy bibliotecznej

Ponieważ raz po raz podnosi się w prasie, że realizacji ustawy bibliotecznej dotychczas nie przeprowadzono, sprawę tę należy wyjaśnić.

Dekret o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi ukazał się w czasie i warunkach nie sprzyjających. Okres odbudowy powojennej na wszystkich odcinkach życia wymaga olbrzymich środków finansowych, co stwarza konieczność hierarchii potrzeb i ustalenia kolejności ich zaspokojenia. Potrzeby kulturalne, a między nimi i biblioteczne, nie mogły być w ogólnym planie wysunięte na czoło. Rozporządzalne fundusze należało przede wszystkim przeznaczyć na inne, pilniejsze odcinki odbudowy.

Drugą przeszkodą był brak dochodów związków samorządowych, na które dekret nakłada obowiązek zakładania i utrzymywania publicznych bibliotek powszechnych. Licząc się z tym, dekret nie mógł ustalić ani wysokości świadczeń związków samorządowych na ten cel, ani obowiązującego terminu zakładania określonych bibliotek (gminnych, powiatowych i wojewódzkich). Postanowienie art. 15, pkt. 4, że do czasu zapewnienia związkom samorządowym dostatecznych własnych źródeł dochodu wydatki na zakładanie nowych bibliotek oraz ich utrzymanie pokrywać będzie skarb państwa, nie zostało dotychczas w budżecie odpowiednio uwzględnione. Prawidłowa budowa sieci bibliotek powszechnych wymagałaby bowiem około miliarda złotych rocznie przez okres 5 lat, gdy kwoty na ten cel przeznaczone wyniosły od r. 1944 do 1947 zaledwie około 100 milionów złotych.

Ale pieniądze to jeszcze nie wszystko; wchodzą w grę jeszcze inne braki, spowodowane przez wojnę i okupację niemiecką, a mianowicie brak odpowiednich książek i wyszkolonych bibliotekarzy. Księgozbiory bibliotek muszą zawierać książki różnego rodzaju, w tym niemało takich, których powtórne wydania ukazują się stosunkowo rzadko lub wcale nie wychodzą, jak np. kosztowne wielotomowe bibliografie, encyklopedie, zbiory dokumentów, krytyczne wydania klasyków itp. Dotyczy to także serii czasopism naukowych. Zdobycie takich materiałów, zwłaszcza przy dużym zapotrzebowaniu, jest niezmiernie trudne, jeżeli w ogóle w pełni możliwe — nawet gdy się rozporządza odpowiednimi funduszami. Odnosi się to zarówno do wydawnictw krajowych jak zagranicznych.

Nie łatwo jest też o książki, których wydanie nie wymaga tylu zabiegów i kosztów, ale które są dla bibliotek potrzebne i pożądane. Podstawowym warunkiem jest opracowanie racjonalnego planu wydawniczego. Nie jest zaś tajemnicą, że takiego planu dotychczas nie ma, że w pierwszym okresie po wojnie, wobec wytrzebienia przez Niemców polskiej książki, sytuacja u wydawców była łatwiejsza o tyle, że każdą wydaną książkę mogli szybko i bez ryzyka rozprowadzić. Wskutek tego liczba wydawnictw jest wprawdzie stosunkowo duża, ale nie odpowiadają one istotnym potrzebom czytelnictwa.

W takich okolicznościach kompletowanie zbiorów bibliotecznych natrafia na duże trudności, brak nam bowiem dzieł podstawowych i skazani jesteśmy na to, co wydawcy z własnego popędu wyprodukowali. Trzeba do tego dodać wzrastającą drożyznę książki. Gdy bowiem z biegiem czasu chłonność rynku zaczęła coraz bardziej maleć, wysokość nakładów musiano obniżyć, a tym samym podnieść cenę książek. Składy więc wydawnictw, nie znajdując nabywców, narastają, a czytelnicy nie mogą zdobyć potrzebnych im książek. Odnosi się to również do bibliotek, do książki „bibliotecznej".

Uzdrowienie sytuacji może przynieść jedynie wszechstronnie przemyślany plan wydawniczy. Słusznie też wysuwa się w prasie jego potrzebę, choć niezupełnie słusznie uzasadnia się ją koniecznością celowej gospodarki papierem. Ten postulat jest niewątpliwie tylko przejściowy, wywołany brakami powojennymi. Decydować powinien tu jedynie wzgląd na realizację ustawy bibliotecznej, która będzie normowała zorganizowane czytelnictwo. Od tego czynnika wyjdzie „zamówienie społeczne", które wskaże, jakie dzieła, w jakiej formie, w jakich ilościach i w jakich terminach należy wydać. Żeby zapewnić sobie wpływ na plan wydawniczy i jego realizację, musi się rozporządzać odpowiednimi środkami finansowymi na akcję biblioteczną. Gdy będziemy mogli z góry zamówić dla bibliotek po kilka tysięcy egzemplarzy danej książki, będziemy mogli też zażądać wydania jej w ustalonej formie (papier, format, czcionki, wyposażenie graficzne, ewentualnie oprawa nakładowa itd.), będziemy mogli wpływać na cenę. Odbije się to nie tylko na książkach przeznaczonych dla bibliotek, ale na całym rynku wydawniczym. Odbudowa bibliotek będzie równocześnie popierała odbudowę polskiej książki — subwencjonując konsumcję wspierać będziemy produkcję.

Ale ten warunek racjonalnej realizacji ustawy bibliotecznej zależy, jak już powiedziano, od możliwości dysponowania odpowiednimi funduszami, te zaś były dotychczas ograniczone. W tych warunkach nasunęły się następujące wytyczne realizacji ustawy, których się też trzymano: 1) Centralny zakup wielu egzemplarzy od razu umożliwia uzyskanie rabatu, dzięki czemu za tę samą kwotę nabyć można większą ilość książek, i to odpowiednich, bo wybranych przez specjalną komisję. 2) Książki przydziela się przede wszystkim bibliotekom powiatowym, które tworzą z nich ruchome komplety i rozsyłają je w teren do bibliotek gminnych oraz punktów bibliotecznych, dzięki czemu można obsługiwać większą liczbę czytelników. 3) Zakładanie i działalność stałych bibliotek gminnych (miejskich i wiejskich) popiera się w tych wypadkach, gdy związek samorządowy zapewni im trwałość bytu i należyte funkcjonowanie.

Kierując się tymi wytycznymi w rok po wejściu w życie dekretu zorganizowano około 700 biliotek gminnych, w tym 200 miejskich, 280 bibliotek powiatowych (na Ziemiach Odzyskanych w każdym powiecie), 4 biblioteki wojewódzkie i około 4000 punktów bibliotecznych. Znaczy to, że mamy już prawie 1000 bibliotek samorządowych, tj. tyle, ile ich było w r. 1939. Trzeba jednak zaznaczyć, że uzyskaliśmy tylko przedwojenną liczbę bibliotek jako instytucji, natomiast daleko nam jeszcze do osiągnięcia przedwojennej liczby posiadanych przez nie książek. Pod tym względem czeka nas olbrzymi wysiłek, a będzie on musiał być jeszcze większy, gdy podejmiemy akcję uzupełniania sieci bibliotecznej przez powołanie do życia dalszych około 2800 bibliotek gminnych, kilkunastu powiatowych, kilkunastu wojewódzkich i około 15.000 punktów bibliotecznych. Dopiero gdy znajdą się na to odpowiednie fundusze, będzie można mówić o prawidłowej, pełnej realizacji ustawy bibliotecznej na odcinku bibliotek powszechnych.

Józef Grycz

NOWE UTWORY BELETRYSTYCZNE

Irena Krzywicka. Tajemna przemoc. Katowice, „Awir", 1947: str. 175 i 1 nl.

„Tajemna przemoc", to tomik nowel znanej powieściopisarki. Tomik nie przynosi nic nowego w jej dorobku. Czyta się go lekko.

Problematykę tomu wykłada jego nieco sensacyjny tytuł. Zebrane nowele grupują się przeważnie wokół zagadnienia psychologicznego, w jaki sposób niepozorne, nie wybitne albo nawet mniej niż przeciętnie uzdolnione istoty potrafią opanować i zniszczyć życie o wiele cenniejszych jednostek ludzkich, które siła przypadku wydała im na łup. Problem ten przedstawiony jest w różnych odmianach i na tle różnych środowisk: w stosunku erotycznym, w stosunkach pracy i ambicji, w miłości rodzicielskiej i w stosunku opieki służącej nad „państwem". Wszędzie istota niższa staje się pająkiem i, wyżywając nagromadzony w całym życiu kompleks niższości, bierze odwet na przypadkowej ofierze spośród ludzi „normalnych" (normalnych, dzięki powodzeniom życiowym i sytuacji społecznej). Demonstruje to historia służącej, która opanowuje profesora po śmierci jego żony, historia kochającej matki (a kiedyś opuszczonej małżonki), która zagarnia życie swej córki, historia starego, chorego erotomana - męża, który „opętuje" młodą, zdrową dziewczynę.

Przypadek odgrywa wszędzie decydującą rolę: najcharakterystyczniejsza jest pod tym względem nonsensowna historia oficera, prześladowanego przez brzydką i głupią dziewczynę, którą się zaopiekował z poczucia obowiązku, spowodowawszy jej chwilowe kalectwo w wypadku samochodowym.

Temat nie jest nowy: motyw komara, który zabija lwa, posłużył już takim geniuszom literackim, jak Balzac („Kuzynka Bietka") i Dostojewski („Powiest o siele Stiepanczikowie"), nie mówiąc o molierowskim Tartuffie. Konkurencja była ryzykowna i nic dziwnego, że nie wypadła na korzyść autorki. Klasyczny temat wielkiej namiętności został tym razem wywołany z arsenału literackiego zupełnie na próżno

N. Jemielianowa. Chirurg. Katowice, „Awir", 1947; str. 170 i 2 nl. — **Weselina Genowska.** Szklane mury. Katowice, „Awir", 1947; str. 256.

Oba przekłady, bułgarskiej i rosyjskiej książki, są pozycjami skromnymi. Mogą spełnić swoje zadania jako lektura dla młodzieży.

Szczególnie odnosi się to do powieści „Chirurg", która posiada tę wyższość, że skreśliło ją bardziej wprawne pióro.

Lekarz stał się ostatnio ulubioną postacią filmu, literatury rozrywkowej i młodzieżowej. Przykładem jest poczytność powieści Cronina „Cytadela". Był to pewien „wzór społeczny", który miał wzięcie szczególnie tuż przed wojną. Na ukształtowaniu się tego wzoru zaważyło niewątpliwie uprzywilejowane stanowisko socjalne i materialne, jakie w społeczeństwie przedwojennym zajmował lekarz. Zawód ten tworzył „nową elitę". Energia, związek z życiem czynnym i sprawność techniczna były cechami tego nowoczesnego bohatera, na modłę nieco amerykańską. Znajdował tu niewątpliwie wyraz kult powodzenia.

Postać lekarza dawała pisarzowi możność stworzenia żywej akcji, pełnej dramatycznych efektów, o „głębszym" podłożu psychologicznym. Pociągała nowość tła, egzotyka „terenów nauki". Działalność lekarza ujęto dosyć naiwnie, jako błyskotliwy szereg „tricków magicznych" — cudów nowoczesnej techniki. Temat był zarówno sensacyjny, jak budujący. Był to wdzięczny materiał dla pisarza — i łatwa lektura dla czytelnika. W koncepcji tego „wzoru społecznego" sąsiadowały pojęcia o bohaterstwie, powodzeniu — i komforcie, jako bezpośredniej nagrodzie poprzednich zalet. Motyw roli społecznej tego zawodu pojmowany był czysto dekoracyjnie w szeregu tych powieści, które cieszyły się największą poczytnością. Było to coś najzupełniej obcego nie tylko „żeromszczyźnie" doktorów Judymów, ale i wszelkiemu podejściu do sprawy jako do problemu moralnego i społecznego.

Podejmując ten sam temat, autorka rosyjska pragnęła wykorzystać dla celów wychowawczych to naturalne zainteresowanie. Pragnęła go podjąć nie na modłę owego ideału burżuazyjnego, lecz uwydatniając w nim wartości ludzkie i społeczne.

Uczyniła to w sposób prosty i bezpretensjonalny, z widoczną wprawą pisarską.

Nie można jednak powiedzieć, aby zupełnie uniknęła wpływu owego „szablonu amerykańskiego". Szablon ten zaważył na literaturze, eksploatującej „bohaterów technicznych". W powieści przeważa jednak prosta i głębsza koncepcja świata, dzięki której książka ma duże wartości wychowawcze. Akcja rozgrywa się w czasie obrony stolic sowieckich przed napaścią niemiecką. Nie ma jednak w książce ciężkiej atmosfery owych lat, ekspresjonistycznych wspominków zmory, której zdrowiej jest ciągle nie przypominać. Nie ma też tła batalistycznego. Piękna natomiast jest przenośnia, na której skonstruowano tę skromną i budującą powieść. Nieustanna walka, jaką prowadzą ze śmiercią lekarze szpitala, jest tą samą walką, którą toczą żołnierze rosyjscy na swojej ziemi — walką ze śmiercią o życie ludzkie, o życie w ogóle

Akcja powieści wyzyskuje wszystkie naturalne motywy zainteresowania, wynikające z tematu. Obok nich wprowadza historię lekarza, idącego po trudnej drodze „terminowania do doskonałości". Interesującym odświeżeniem tej historii wątpliwości i walki z samym sobą jest „genealogia społeczna" młodego lekarza: z domu pijaka i pechowca, poprzez termin u ślusarza i rabfak — do studiowania ryzykownych tajników sztuki chirurgicznej.

Obok roli lekarza ukazuje autorka rolę wszystkich pracowników szpitala, jako ludzi walczących o życie i odpowiedzialnych za wypełnienie zadania w tej walce.

Psychologia postaci jest nieskomplikowana i bez fałszu, przedstawia świat żywy i przeciętny, choć to epoka bohaterskiej próby. Niezręcznością są tylko umieszczone jako monolog wewnętrzny refleksje nad psychologią „powszedniości bohaterstwa", które stanowią zbędną kropkę nad „i". Zaletą książki jest odrobina humoru, zawsze dobra zapowiedź dla prób epickich. Akcja pełna napięcia zainteresuje czytelnika. W zakończeniu autorka unika maniery: akcja nie otrzymuje jakiegoś efektownego a szablonowego rozwiązania, lecz urywa się — życie „toczy się dalej".

„Chirurg", to dobra książka dla młodzieży i dla bibliotek popularnych. Niestety, polszczyzna przekładu (Mieczysław Maneli) bardzo brzydka.

O wiele słabsza jest powieść autorki bułgarskiej, Weseliny Genowskiej „Szklane mury". Szlachetnym intencjom i jasnej koncepcji społecznej nie towarzyszy wyrobienie pisarskie. Droga do uświadomienia społecznego i czynnego udziału w walce o prawa w okupowanej przez Niemców ojczyźnie, droga, którą przechodzi bohaterka z biednego i wstecznego, drobnomieszczańskiego środowiska, jest podana w formie romantycznego schematu, nie wypełnionego jeszcze żywą treścią ludzkich przeżyć. Ten szablon romantyczny kazał też zakończyć jej losy — śmiercią przy pierwszym czynie, od razu po wstąpieniu do partyzantki. Koncepcja powieści nie jest przemyślana. Poświęcenie Neweny Klimentowej nie jest dla oddziału partyzantów tak pożyteczne, jak byłaby jej praca jako lekarza. Ta śmierć i jej apoteoza, zamiast być wzorem wychowawczym, jak zamierzała autorka, jest właśnie momentem, w którym powieść najwyraźniej zawodzi. Autorka nie potrafiła w śmierci (wynikającej raczej z kompozycyjnej konieczności zakończenia książki) ukazać źródła dalszego życia, fundamentu dalszej pracy i walki — z nadzieją. Tu leży największy błąd młodej autorki. (I zasadnicza różnica w porównaniu z poprzednio omawianą książką rosyjską).

Akcja i postaci są papierowe. Powieść robi wrażenie debiutu. Przekład ten może mieć znaczenie czysto informacyjne, jeśli idzie o obraz współczesnej literatury bułgarskiej — o ile powieść jest dla niej istotnie reprezentatywna.

Janina Pregerówna

Z TEATRÓW DZIECIĘCYCH



Równolegle z rozwojem teatrów polskich po wojnie postępuje naprzód praca nad dostarczeniem najmłodszemu widzowi, t.j. dziecku, dobrego widowiska teatralnego. Jedną z pierwszych tego rodzaju placówek jest krakowski teatr Lalki i Aktora „Groteska", który pracuje coraz lepiej. Niedawno wystawił przedstawienie kukiełkowe „Dwa Michały i świat cały" Fronta; dekoracje i lalki: Ali Bunscha i Mikołaja Sorykina; muzyka: Marii Dziewulskiej.

W poprzednim 1 (162) numerze „Odrodzenia" z dnia 4 stycznia 1948 r. **Tadeusz Przypkowski:** O godło państwa. — **Jan Górski:** Wielka inkwizycja amerykańska. — **Pola Gojawiczyńska:** Rozmowy z milczeniem: Pierwszy śnieg. — **Andrzej Stawar:** Z refleksji porocznicowych. — **Roman Grabowski:** Obrona przed obcymi wpływami. — **Stanisław Gogłuska:** Francuskie nagrody literackie. — **Tadeusz Breza:** „Rewizor" naszych czasów. — Grudniowy zeszyt „Twórczości". — Spis treści „Odrodzenia" za lata 1944—1947. — Klub Literacki „Odrodzenia". — **Jerzy Andrzejewski:** Kartki z dziennika lektury: Ludwik Sztyrmer. — **Henryk Markiewicz:** Śladami „Biblioteki Narodowej". — **kjw:** Szkoła krytyków: Dzieckiem być warto. — **K. I. Gałczyński:** List noworoczny do ludzi z wiosek i małych miast. — Tydzień bibliograficzny. — Korespondencja (**Ł. Podhorski-Okołów, E. Słuszkiewicz, J. Koprowski**). — Camera obscura. — 17 ilustracji. — 16 stron.

Kartki z dziennika lektury

„Powieści nieboszczyka Pantofla"

W tych dwóch w roku 1844 w Wilnie wydanych tomikach znaleźć można najlepszego Sztyrmera. Tytuł zrazu zaskakuje. Pantofel i jeszcze do tego nieboszczyk? Ale już z podtytułu dowiadujemy się, że „Powieści nieboszczyka Pantofla" zostały z „papierów po nim pozostałych wybrane i ogłoszone przez Eleonorę Sztyrmer". Tą podwójną mistyfikacją miał Sztyrmer przez całe życie osłaniać swoje autorstwo. Nic dziwnego! Pułkownik sztabu generalnego, piszący jawnie o dziwakach, wykolejeńcach i wariatach, nawet w obecnych czasach, a cóż dopiero wówczas, mógłby rzucić cień pewnego podejrzenia na swoją osobę. Po latach przywrócono Eleonorze Sztyrmer właściwe imię i płeć, natomiast fikcyjny Wincenty Pantofel pozostał, jako jedna z najciekawiej i najoryginalniej w naszej prozie dziewiętnastowiecznej ujętych postaci.

Dopóki znałem Sztyrmera tylko z nazwiska i z tytułów jego utworów, bardzo mnie intrygowało, kto to taki ten Pantofel? Okazał się istotą bez nazwiska. Po prostu Pantoflem. „Pantofel — powiada Sztyrmer w rozdziałku o „Historii naturalnej Pantofla" — oznacza człowieka ukrzywdzonego od przyrodzenia, a mianowicie pozbawionego tęgości i energii woli... jest to istota nosząca tylko tytuł człowieka, czyli tytularny człowiek, niecałkowita dusza". Poza tą jedną skazą Pantofel jest najszlachetniejszym człowiekiem, wykształconym, pełnym wartościowych uczuć i pragnień. Niestety dzięki bierności charakteru, nieśmiałości i nadmiernej wrażliwości nic mu się w życiu nie udaje. Zawsze jest samotny, bo gdy jedni nim pogardzają, inni się z jego niedołęstwa i safandulstwa śmieją. „Jest to żyjątko niesłychanie skrzywdzone od natury i zasługuje na wielką wyrozumiałość — stwierdza Sztyrmer. — Inni tytularni ludzie znajdują się zwykle w przyjaźniejszych okolicznościach: wariat może się schronić do Bonifratrów, gdzie nikt z niego nie szydzi i gdzie z głodu nie umrze, a człowiek bez uczucia wcale nieźle na tym braku wychodzi. Wypadałoby przynajmniej ustanowić szpitale dla Pantoflów!"

Jakąż trafną intuicją artystyczną i psychologiczną kierował się Sztyrmer, przypisując autorstwo swoich opowieści właśnie Pantoflowi! Trudno było o lepszego przewodnika po grząskich terenach „czarnej patologii". Nikt w naszej prozie przed Sztyrmerem nie zainteresował się z taką pasją i wnikliwością przeżyciami wewnętrznymi „niecałkowitych dusz". Biedny Pantofel, sam będąc „duszą oberwaną", czy jak innym razem nazywa go Sztyrmer „fragmentem psychicznym", interesuje się wyłącznie ludźmi również dotkniętymi takim lub innym psychicznym pęknięciem. Jeszcze w „Pantoflu, historii mego kuzyna", jednym z najwcześniejszych utworów Sztyrmera, opowiada o swoim życiu własnym, ale już w „Duszy w suchotach" przechodzi w krąg innych psychicznych zniekształceń, pokazując człowieka, którego choroba duszy, zżeranej nudą, oschłością i cynizmem, doprowadza na koniec do śmiertelnej choroby fizycznej. Wreszcie we „Frenofagiuszu i Frenolestach" odwiedza Pantofel warszawski szpital Bonifratrów. Jest to chyba najkapitalniejszy utwór Sztyrmera, doskonały w gryzącej ironii, sarkazmie i zadziwiających na nasz ówczesny stan wiedzy literackiej o człowieku spostrzeżeniach psychologicznych.

Tym razem znajdujemy się wśród „tytularnych ludzi" nie zamaskowanych już żadnymi pozorami życia światowego. Szpitalem Bonifratrów, według relacji jednego z wariatów pełniącego obowiązki Marszałka, rządzi niewidzialny, potężny Frenofagiusz, żywiący się mózgami swoich poddanych. Gdy w przystępie gniewu lub nudy wyrywa sobie z głowy włosy, powstają z nich natychmiast Frenolesty, istoty chytre i złośliwe, które przybrawszy kształt człowieczy „wyszukują sobie wśród ludzi ofiary i dopóty je duszą, dopóty umanią, dopóki nie dopną swego celu i nie przyprowadzą biednego wariata do spiżarni Frenofagiusza". Każda cela, to krótka historia szaleństwa jednego człowieka. I cóż za wspaniałe typy tam siedzą! Choćby pan Jancenty, który uprzykrzywszy sobie ciężki los człowieka, wcielać się począł w istnienia różnych zwierząt, aż wreszcie pełne zadowolenie znalazł dopiero jako osioł, bo „chociaż w innych krajach trudne ośle życie, u nas w Polsce tego nie masz: osioł nie pracuje wcale, je sobie tylko, pije, śpi i bąki zbija po świecie". Albo Marszałek, który do Bonifratrów przywędrował, ponieważ nie mógł napisać powieści i teraz ma nadzieję, że mu się to uda, gdy przez dłuższy czas będzie zjadać resztki z półmisków [illegible] nofagiusza...

Jakaż szkoda, że w światopoglądzie nie osiągnął Sztyrmer podobnej ostrości widzenia i śmiałości. Jakim byłby wówczas pasjonującym pisarzem! Ale już szybkość, z jaką porucznik rewolucji listopadowej potrafił się przedzierzgnąć w oficera petersburskiego sztabu generalnego, nie świadczyła najlepiej o charakterze młodego Sztyrmera. W dziesięć lat później, w chwili największego rozgłosu, zbliży się Sztyrmer do skrajnie reakcyjnego „Tygodnika Petersburskiego" i pod pseudonimem Gerwazego Bomby pocznie na jego łamach drukować tzw. „Listy z Polesia". Henryk Rzewuski i Michał Grabowski zdobyli w ten sposób jeszcze jednego sojusznika w walce z wszelkimi przejawami postępu. I to sojusznika nie byle jakiego, bo pisarza rozporządzającego świetnym stylem, dowcipem i gryzącą ironią. Wprawdzie po roku przestał Sztyrmer do „Tygodnika" pisywać, ale wnikliwy Panfotel nie zwyciężył w nim hałaśliwego i prymitywnego Bomby. Opowiadanie „Trupia główka", włączone do „Powieści nieboszczyka Pantofla", jest naiwnym oskarżeniem badań naukowych, a inna opowieść z tego samego zbioru „Czarne oczy" całkowitym już zejściem na manowce mętnej mieszaniny wulgarnego mistycyzmu z popularnym w owym czasie magnetyzmem. Znów w „Błogosławieństwie matki" bardzo interesująco przeprowadzony wątek psychologiczny fatalnie zostaje zepsuty końcową pointą dydaktyczną. Dydaktyzm Sztyrmera jest prawie zawsze płytki i irytujący, zadziwiająco wsteczny w stosunku do odkrywczości tego samego człowieka w dziedzinie psychologicznej. Gdy za to autor „Pantofla" rezygnuje z prób wnoszenia t.zw. wartości pozytywnych, mdły i obskurancki dydaktyzm zastępując sarkazmem i ironią, proza jego natychmiast nabiera życia i giętkiej, nieraz bardzo trafnej celności.

Sztyrmer jest obecnie pisarzem zupełnie nieznanym, książki jego należą do rzadkości bibliofilskich i znaleźć je można tylko w największych bibliotekach publicznych. W tych warunkach autor „Frenofagiusza i Frenolestów" stał się postacią trochę legendarną i otacza go albo milczenie, albo dla odmiany przesadne domysły, iż czeka na odkrycie genialny, rewelacyjny pisarz. Oczywista przesada. Sztyrmer jest pisarzem niedużego lotu, wąskiej rozpiętości tematycznej, lecz w tych [illegible] podwórka twórcą oryginalnym i jeszcze dzisiaj interesującym. To wystarcza chyba, aby poważnie pomyślano o wydobyciu najlepszych jego utworów z ukrycia. Zasługuje na to i on i czytelnicy.

Jerzy Andrzejewski

Szkoła krytyków

KIEPURKA

Na firmamencie literatury dziecięcej pojawiły się zatem tuż przed wojną dwie niebezpieczne gwiazdy. Nawet ich imiona można doskonale umiejscowić pośród gwiazdozbiorów. Fioletowa Brzechwa w konstelacji Kasjopei płonie, rubinowy Tuwim w grzywę Lwa się zaplątał, to brzmi całkiem prawdopodobnie.

Tuwim, a szczególnie Brzechwa, są dla pedagogów i znawców literatury dziecięcej dużym kamieniem obrazy, a na odbytym z wiosną ubiegłego roku zjeździe poświęconym literaturze dla dzieci, pod adresem Brzechwy padały najcięższe oskarżenia (por. K. Kuliczkowska „O wielką literaturę dla małych", „Twórczość", 1947, z. 7—8). Wstęp do „Antologii polskiej literatury dziecięcej" powtarza te oskarżenia w złagodzonej, ale stanowczej formie: „Twórczość Tuwima, a przede wszystkim Brzechwy, wniosła pewne niebezpieczeństwa do tej literatury, zachwiała jej równowagę, wprowadziła dzięki swej efektowności przekonanie, że tylko w ten sposób pisać dla dzieci należy".

Sprawa jest o tyle znamienna, odciskają się w niej bowiem prześlepiane przez pedagogów zagadnienia poezji dla dorosłych, że krytykowi dla dorosłych niechaj będzie wolno zabrać w niej głos. Bo sprawa jest też dosyć skomplikowana i gromy na Brzechwę nie spędzą go prawdopodobnie z wysokiego miejsca na firmamencie. Przede wszystkim skąd ta poezja dziecięca, oparta głównie na kapitalnej igraszce słownej, igraszce tym swobodniejszej, że wyzyskującej prawa infantylnych skojarzeń dźwiękowych? Tylko na złość pedagogom, tylko po to, żeby im zburzyć tę proporcję morału i baśni, do jakiej zdążyli przywyknąć?

Krytyk dla dorosłych widzi w takiej poezji oczywisty dalszy ciąg poszukiwań słowotwórczych i filozoficzno-we[illegible]ych Leśmiana i samego Tuwima. To są przecież ustawiczne dziecięce słopiewnie, w poprawionej formie oddane wyobraźni dziecka. Jeżeli jego urzekający bełkot był u początków dadaizmu — dada to w mowie dzieci francuskich zabawka, konik — to w podobnej poezji dzieci otrzymują z powrotem, co dały dorosłym. Otrzymują w formie bardziej sensownej, aniżeli słowotwórcze zabawy dorosłych. Otrzymują też z dużym opóźnieniem w czasie — dla dorosłego krytyka taka geneza poezji słownej igraszki jest czymś niewątpliwym.

Ale geneza nie broni jeszcze swoich wytworów. Mam wrażenie, że główny powód zaniepokojenia znawców, którzy sądzili, że będą im oszczędzone niespodzianki, jest w tym, że ta poezja dzieciom się podoba. Podoba wbrew temu, co na ogół pisze się o ich psychice. Można naturalnie twierdzić, że to dorośli, bawiąc się kosztem dzieci, narzucili im swoje upodobania. Argument taki daje się nieraz słyszeć, ale to argument niedostateczny, bo spróbujcie dzieciom narzucić lekturę wszystkiego, co wam, dorośli, się podoba. Spróbujcie Brezę, spróbujcie Przybosia. Ta radość z poezji bardzo słownikowej posiada widocznie jakieś zaczepy w psychice dziecka, skoro w nią trafia, skoro podrzucając słowa — dziecko bywa wprawnym żonglerem i zaznaje uciechy z tej żonglerki.

Mam podejrzenie, że mechanizm uczenia się słów i pojęć przez dziecko w wieku przedszkolnym — dzieci umiejące czytać całe książki już za Brzechwą nie przepadają — że ten mechanizm jest jeszcze niedostatecznie zbadany i że w tym miejscu poeci, nie pierwszy zresztą raz, wyprzedzili psychologów. Bo mądrzy psychologowie przyznają, że najlepszymi traktatami naukowymi z ich specjalności są dobre powieści. Być może, że nie do wszystkich dzieci obserwacje takie dają się zastosować, ale znam dobrze osóbki, dla których w czwartym roku [illegible] szczególną uciechą była np. strofa Mariana Piechala:

Z otchłani tchła mgła obła
Czchnął trznadel, pstrąg głąb pruje,
Wybrnęła wydra z brodła,
Dżdżownica źdźbło dżdżu żuje.

Po latach osóbka ani słowa nie pamięta z tych linijek, ale zaręczam, że strofa taka nie zaciążyła ujemnie na jej rozwoju moralnym, intelektualnym i estetycznym, podobnie jak nie zaciążyły dydaktyczne strofy Konopnickiej, równie chciwie słuchane i równie dokładnie zapomniane. Ta sama osóbka nigdy nie chciała suchać Andersena i po dzisiejszy dzień nim gardzi. Bądźmy zatem łagodniejsi, prosi krytyk dla dorosłych, a przede wszystkim pozostawmy nieco wolnego miejsca pod te wiadomości z psychologii dzieciństwa, jakie nauka być może jeszcze przyniesie. A uparcie podejrzewam, że wobec mechanizmu słów ona je przyniesie. Lub przynosi, czego jako niefachowiec mam prawo nie wiedzieć.

Powie ktoś wszakże, że strofa Piechala jest czystym nonsensem i rozmyślną łamigłówką dla języka. Ale wstęp do „Antologii polskiej literatury dziecięcej" zalicza „Ptasie radio" Tuwima „w skład żelaznego repertuaru, który powinno poznać każde dziecko", ponieważ „mistrzostwo języka osiągnęło tu swój szczyt". Bardzo słusznie. Przeczytajmy jednak te oto wiersze:

A po piąte przez dziesiąte
Będą ćwierkać, świstać, kwilić,
Pitpilitać i pimpilić
Ptaszki następujące:

Słowik, wróbel, kos, jaskółka,
Kogut, dzięcioł, gil, kukułka,
Szczygieł, sowa, kruk, czubatka,
Drozd, sikora i dzierlatka,
Kaczka, gąska, jemiołuszka,
Dudek, trznadel, pośmieciuszka,
Wilga, zięba, bocian, szpak
Oraz każdy inny ptak.

Prawda, że same ptaki? Ale proszę powiedzieć, tak z ręką na sercu i szczerze, dla którego dziecka, nawet wiejskiego, już nie mówiąc o dziecku z miasta, dla kogo z dorosłych, oprócz ornitologów, są to dzisiaj rzeczywiste ptaki? Kto podkłada pod jemiołuszkę, trznadla i dzierlatkę wyobrażenie realnych ptaków? Kto je rozróżnia, zwłaszcza dzisiaj, kiedy znajomość nazw drzew, ptaków i roślin ani się równać nie może u szkrabów ze znajomością typów motorów i samolotów. Natomiast na pewno dla każdego czytelnika bez względu na wiek jest to drażniąco śmieszny układ dźwięków i sylab, coś, jakbyśmy powiedzieli — „szumnistrumni dunajewo po niekławie". Tak dorosłym powiedział Tuwim w słopiewniach. Jedna kiepurka więcej, jedna kiepurka mniej nie robi prawdziwego ogrodu zoologicznego.

Dlaczego kiepurka? Bo u Tuwima występuje taki ptak: „Patrzcie go! nastroszył piórka: Daje koncert, jak kiepurka". Dla każdego powojennego dziecka ta kiepurka to na pewno jakaś odmiana kosa i słyszę te dzieci, pytające rodziców: a jaki ma czub? a czy kręci ogonkiem? Tylko my dorośli popadamy w zadumę nad tym jedynym pomnikiem, jaki instynkt słowotwórczy poety wzniósł Janowi Kiepurze, kandydatowi we własnym pojęciu na Prezydenta Rzeczypospolitej (a jakże!), śpiewakowi i mężowi Marty Eggerth, dzisiaj, eheu, po prostu obywatelowi amerykańskiemu. Tuwim porównał go pomiędzy ptaki i gdyby naprawdę jakąś odmianę pośmieciuszki ornitologowie nazwali kiepurką, cóż trafniejszego mógł uczynić poeta? Każdy w takiej przetrwa sławie, na jaką zasłużył.

Ten dowód z kiepurki przeprowadziłem po to, ażeby ukazać w obrębie pochwał rozdzielanych (słusznie!) przez wstęp do omawianej „Antologii", że te pochwały wypadają na korzyść ganionych skądinąd poetów i na korzyść tego, za co się ich gani. Czyli sprawa prosta nie jest. Czyżbym więc sądził, że literatura dla dzieci osiągnęła w Brzechwie i Tuwimie swoje komety ostateczne, i już ich nie przekroczy? Że taka poezja jest naprawdę pedagogiczna?

Nic podobnego. Co sądzę, Kubuś Puchatek powie za tydzień ze swojej Chatki.

kjw

Notatnik muzyczny

Kłopoty i troski kolędników

Można połączyć znakiem równania kłopoty i troski artystów wszelkiego gatunku sztuk pięknych w Polsce: literatów, plastyków i muzyków. Problemy i potrzeby, wobec których znajduje się ich sztuka, są bardziej niż podobne: w wielu punktach identyczne.

Lecz, czy rzeczywiście chodzi tu o kłopoty i potrzeby producentów? Czy nie można by sprowadzić zagadnień tych do innej, odwrotnej strony medalu: do oczekiwań, które dziś zaistniały po stronie odbiorcy?

Ileż ciekawych rozważań można by tu przytoczyć, poczynając od tego, czy oczekiwania takie rzeczywiście już u nas istnieją, czy też wykluwa się dopiero szczera tendencja i zamiar prawdziwego upowszechnienia kultury i sztuki.

Artyści dzielą się tu na sceptyków i entuzjastów, lecz wszyscy uznają potrzebę społecznego pogłębienia i poszerzenia działania sztuki. Jedni i drudzy są, w gruncie rzeczy, tego samego zdania i pomawianie sceptyków o wstecznictwo czy „elitaryzm" nie jest słuszne. Można by równie dobrze pomawiać entuzjastów o demagogię czy przedwczesny lub zakłamany „sloganizm", termin aktualny zawsze w czasach, gdy o coś się walczy, coś buduje i przeprowadza.

Rada artystyczna CKZZ zwołała zebranie, na którym przedmówcy komentowali i wyciągali wnioski z przemówienia ob. Prezydenta Bieruta na otwarciu radiostacji wrocławskiej.

Nie zamierzam omawiać w tym notatniku stanowiska plastyków i literatów. Jeśli chodzi o aspekt wypowiedzi dotyczących muzycznej strony zagadnienia, to najciekawsze i najbardziej skrajne stanowisko zajęła dr Z. Lissa, wicedyrektor Departamentu Muzyki w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Osią tego przemówienia był pogląd, że skoro muzyka ma się zwracać obecnie do nowego, nie przygotowanego jeszcze masowego słuchacza, to i twórczość współczesna ma się do tego nagiąć i kompozytorzy produkować powinni dzieła obliczone na takiego odbiorcę.

Wyciągnięcie wniosku tego z przemówienia dr Lissy jest, oczywiście, wielkim skrótem — sądzę jednak, że nie paczy ogólnej intencji i tendencji jej wywodów, mimo iż nie przytacza całej, poprzedzającej je argumentacji.

Czy takie wnioski wyciągać należy z przemówienia Prezydenta Bieruta, pozostaje kwestią otwartą. Większość mówców inaczej przemówienie to komentowała i osobiście sprzeczałbym się ze skrajnym stanowiskiem dr Lissy. Nie uważam jednak za wskazane i właściwe opieranie się na tekstach deklaracji i oficjalnych przemówień jak na ewangelicznych cytatach. Moje stanowisko i interpretację mowy Prezydenta (które są wyrazem opinii wielu członków Związku Kompozytorów Polskich) podają „Nowiny Literackie". Tu zajmę się tylko pewnym odcinkiem tego — wiecznie żywego zagadnienia.

Sprawa upowszechnienia sztuki nie jest rzeczą nową. Księgi wędrujące pod strzechy są marzeniem każdego artysty. Romantyczny Mickiewicz wyraził to w klasyczno-patriarchalnym obrazku włodarza czy ekonoma — (nie pomnę!) — objaśniającego gromadzie sztukę: wskazując na piękności, wybaczając błędom. We wszystkich epokach oddźwięk masowy był mniej lub bardziej skrytą tęsknotą artystów. I sądzę, że nawet rzymscy czy wersalscy dworacy marzyli w głębi ducha o prawdziwym anonimowym odbiorcy, marzyli, poprzez cezara czy króla, o człowieku. W przeciwnym razie dzieła ich pozostałyby martwą literą. Artyści godni tego imienia tworzyli zawsze dla człowieka, myśleli o nim, o powszechnym odbiorcy. O człowieku, tym samym, który wibrował wspólnie, wielotysięczną rzeszą, na stopniach ateńskiego teatru, słuchając nie byle jakich tragedii. Który w nie byle jakich popisach brał udział, dążąc na Olimpiady delfickie.

Upowszechnienie nie jest wynalazkiem, który wyskoczył ze skrzynki Pandory.

W średnich wiekach katedra łączyła lud we wspólnym wysiłku, którym była modlitwa, muzyka i obrzędowy, liturgiczny spektakl. W najbardziej „elitarnych" czasach Rameau planował w roku 1737 kurs kompozycji dla amatorów, mający dać każdemu z wyfraczonych — zapewne — adeptów, podstawy harmonii w ciągu 6 miesięcy — po 3 dwugodzinne lekcje tygodniowo. Rewolucja francuska stworzyła w 1795 roku konserwatorium i odtąd państwo — nie tylko francuskie — usiłuje wprowadzić muzykę do planu szkolnictwa powszechnego. We Francji przeprowadzono to dopiero w roku 1887, ustanawiając nauczanie solfeżu od najniższych klas dziecinnych i wprowadzając do nich naukę czytania w kluczach, podstawy elementów tonalnych i śpiew dwugłosowy, aż po dyktaty muzyczne.

Zbiegło się to z zanikiem muzyki ludowej, która niewiele dbała o dyktaty, klucze, elementy tonalne i solfeż, tworzyła arcydzieła monotonii, wielogłosowości i instrumentalnych czy perkusyjnych efektów zespołowych.

Lecz nie można iść wstecz. Motory i parowe maszyny wyrugowały uroki jazdy dyliżansem. Oberki i kujawiaki pomieszały się z tangiem i maluczko, a zapomnimy co jest naszym narodowym tańcem: mazur czy rumba — co naszym instrumentem: gęśliki, czy gitara hawajska.

Stąd może tyle frasunków i konferencji, tyle alarmów, apelów i trosk. Zamawia się na gwałt pieśni masowe, marsze dla wojska, opracowania dla chórów, wiązanki dla świetlicowych orkiestr i miejskich czy wiejskich zespołów. Szlachetny ten impet pobudza, zasłania, frasuje — niewątpliwie zaś stworzy z czasem coś, co odpowie nowym potrzebom, wypełni lukę powstałą przez zanik Kolbergowskich folklorów, od których masy te odchodzą w zetknięciu z „miejską (i mechaniczną) kulturą" — i choćby tylko z radiem czy gramofonem.

Czy jednak potrzebne i sprzyjające rzeczywistemu rozwojowi sztuki jest hasło — by, tworząc swe dzieła, kompozytorzy uwzględniali tego nieprzygotowanego, nowego, masowego słuchacza?

Sądzę raczej, że należy słuchaczowi temu dobrać umiejętnie program. Apele i atmosfera epoki, w której żyjemy, wyłonią z całą pewnością szereg piór, które dostarczą „utworów masowych". Nie brak już w twórczości Wiechowicza, Szeligowskiego, Maklakiewicza, Rudzińskiego, Panufnika i Lutosławskiego pozycji, które podawać można regionalnym chórom i zespołom amatorskim. Lecz zasadą pozostawać musi, obok zachęty i ułatwień, otwierających drogę tej twórczości — pełna swoboda kompozytora.

Akcent ten — wyraźny zresztą w mowie Prezydenta Bieruta, jest jednym z najciekawszych dla artysty momentów. Każdy artysta wie bowiem, jak bardzo splot aktualności, potrzeb odbiorcy, jego wymagań i oczekiwań, wyrazu, przeżyć i dążeń epoki wpływają na formę i oblicze sztuki. I dlatego, bez specjalnego stosowania się artysty do „nieprzygotowanego odbiorcy", wystarczy tworzyć po prostu dobrą sztukę, spełniać wobec odbiorcy swe kulturalne i społeczne zadanie.

„Arlesienne" Bizeta czy Mazur z „Halki", dobre opracowanie pieśni ludowej czy stworzenie nowej, musi iść w parze z mądrze wybraną i do programu wstawioną, przystępną w swym uroku kompozycją Mozarta czy Schuberta; nie mówmy nigdy o obniżeniu czy nawet stosowaniu poziomu kompozycji do poziomu odbiorcy. Wychowujmy tego odbiorcę na dziełach, których w dobrej literaturze jest dosyć!

A już sprawą artysty-producenta jest takie wyczucie epoki, takie przetopienie swej indywidualności, inwencji i nawet — jeśli tego zachodzi potrzeba — światopoglądu, by dzieło jego wyrażało istotnie czasy, w których żyje.

Dobra sztuka wyraża je zawsze. Dobra sztuka stworzona jest dla ludzi, nie dla artysty, ani dla grupki snobów. Dobra sztuka jest jak dobry list, pisany w świetle odbiorcy, nieledwie że przez odbiorcę!

„Kultura to nie żaden cud,
lecz zwykła świeczka,
to tych spod serca parę nut,
ludzkość serdeczna".

Trudno pisać tu dłużej o wszystkich rozmowach na temat sztuki hermetycznej i sztuki „dostępnej" — muzyki zrozumiałej i nie... Lecz jestem optymistą, tym optymistą, którym jest chyba, od tysięcy lat, każdy artysta: dajcie mu tylko tworzyć, a powstaną dzieła, które pochwycą, wychowają i zwracać się będą do mas. Co do zasięgu tych mas, sprawa to już raczej planu, sposobów i środków upowszechnienia i szkolnictwa, niż samych twórców — którzy odbiorcę zawsze „wyczują".

Upowszechnienie kultury w Związku Radzieckim było największym i na największą skalę przedsięwzięciem z zakresu pracy pod hasłem „kultura dla mas". Zadania nasze są analogiczne, lecz w innej skali i w innych warunkach. Możemy już korzystać z osiągnięć i doświadczeń, które tam poczyniono. Wiemy już, że sztuki nie stworzyła tam rewolucja październikowa za jednym, magicznym dotknięciem, lecz że pielęgnował ją tam ustrój przez całe lata cierpliwej pracy i roztaczanej nad nią opieki, wychowując specjalistów do każdej z dziedzin artystycznego życia.

Nie mamy powodów przypuszczać, by u nas miało być gorzej. Wystarczy cierpliwość i metoda, by sztukę dobrą rozpowszechnić a nawet i dobrą wyprodukować. Muzy lubią, gdy człowiek pracuje cierpliwie. I, ażeby zacytować jeszcze raz Gałczyńskiego, lubią „wielką uporczywość w sprawach małych".

Ciekawym przykładem reakcji sali (bo już zaczynam widzieć wszystko pod kątem echa i odruchów odbiorcy!) był wieczór kolędowy w Filharmonii. Chór (260 osób) i orkiestra wykonały pod dyrekcją M. Mierzejewskiego szereg znanych kolęd w układzie J. Maklakiewicza, F. Izbickiego i F. Wróbla. Na wstępie Tadeusz Marek zadeklamował — znakomicie, bez szablonowego patosu, bardzo po prostu, co jest niespotykanym u nas zwyczajem — „Kolędę w olbrzymim mieście" Stanisława Wiechowicza do słów Tytusa Czyżewskiego. Utwór ten, łączący uderzenia w kotły z „odzywkami" chóru i z głosem recytatora, jest pełen niezwykłej dynamicznej i rytmicznej ekspresji. Mimo to publiczność była jakby zaskoczona, nie reagowała dość żywo przy pierwszym wykonaniu dzieła Wiechowicza, ilustrującego wspaniale tekst Czyżewskiego.

Czy znaczy to więc, że utwór jest słaby? Z pewnością nie. Środki wyrazu nie są ani skomplikowane, ani „elitarne". Są tylko dla słuchaczy naszej Filharmonii nowe. Byli oni i zaskoczeni i nieprzygotowani na „coś takiego". Czy znaczy to, że mamy się ograniczać do dwudziestu kolęd najbardziej znanych i poruszających fibry wspomnień dziecinnych?

Oto typowy przykład, wiążący się z problemami, których żywość porusza dziś cały świat artystyczny. W mowie Prezydenta Bieruta znajdziemy tych zagadnień więcej. Wracamy do niej ciągle, czerpiemy z niej bowiem wiarę, że sprawy, którym służymy, są rzeczywiście zagadnieniem ważnym w skali ogólnopaństwowej, jak most, fabryka i żytem czy pszenicą obsiane pole. Powracamy do tej mowy, bo czerpiemy z niej pewność, że sprawy te uznane są wreszcie za ważne przez najwyższe czynniki w państwie. Pewność, że uznano u nas wreszcie sztukę za dziedzinę, która obok nauki, produkcji, oświaty i wszelkich osiągnięć cywilizacyjno-technicznych wychowuje ten typ nowego człowieka, nowego obywatela i Polaka, o którym mówił we Wrocławiu Prezydent.

Zygmunt Mycielski

RÓŻYCZKA CÓRKA OBWARZANKARZA

(Notatki liryczne z podróży)

Garkuchnio na zamościu,
woniejąca jak róża sarońska,
woniejąca jak róża stulistna,
jak mirry, kasje, cynamony,
przez twoje okna promienie zaglądają jak wyrobnicy znużeni upałem.
Jeszcze w rozjaśnionej szacie tragarz pożółkły jak świątek
rozdaje kęsy chleba chłopcom żyjącym z kradzieży węgla,
spoziera dobrotliwym okiem, już siny od nocy,
a tam wciąż jeszcze krzyczy ulica: — Obwarzanki świeże, obwarzanki.

Aria z „Traviaty"

Ty skakałaś na jednej nodze, pan Edward na dwu. Karuzela powtarzała arię z „Traviaty" i Zachód odarty ze skóry ginął z upływu światła.

— Ja będę jechała na koniku, ty w powozie, jak Sylwester hurtownik.

— Ja będę jechał na koniku wierzchem, jak hurtownik Sylwester.

I było tak: karuzela trzepotała pstrymi spódniczkami, jej właściciel popędzał szkapę z gruntowną bezwzględnością manekinów, jakie widuje się w panopticum i droga wiążąca dwa przeciwległe krańce krajobrazu drżała w chmurach pyłu.

— Życie jest piękne — powtarzała wtedy Różyczka.

— Życie, ono jest piękne — powtarzały kopyta szkapy.

Szkapa nie ma za grosz radości życia

Szkapa nie miała za grosz radości życia. Obojętna na krzyk i czułości, ciągnęła karuzelę z tą samą determinacją, jaką pałają twarze poddane tej nieodzownej specjalizacji, której owoce docierają do nas w postaci standartu. Jej rytmiczne pochylanie łba podobne było już to do skłonień cieślów, już to do poruszeń owych pracowitych chłopskich koników, ciągnących drzewo na stromy zakręt pomiędzy sadem hurtownika a kioskiem papierośnika.

Pomagaliśmy tym zwierzętom wraz z chłopcem od młynarki, który nigdy nie gardził sposobnością niesienia pomocy zwierzynie, jak i szczypaniem Różyczki.

Raz uszczypnął córkę wyrobnika, pchającego pełną taczkę gliny, dostał sromotne cięgi, po których zmarł wyrzucając szkarłatne płaty krwi.

Ze szkapą zawarliśmy znajomość dawno. W chwili kiedy pan Edward, później ceniony kasiarz, powtarzał na całe gardło ten wyimek ze szkolnej czytanki:

„Ale taką tarczę złotą,
co się zowie wolą, cnotą,
co za oręż stoi...
...Ale taką zbroję dzielną,
zbroję ducha nieśmiertelną,
co się strzał nie boi..."

Szkapa pasła się wygryzając trawę po kole tych samych rozmiarów, jakie wybijały jej kopyta przy karuzeli. Co kilka skubnięć podnosiła pysk w stronę, gdzie pasły się konie Sylwestra i rżała.

— Biedny koń, chciałby zjeść coś smacznego a nie ma — mówiła Różyczka.

— A ty nie jesteś biedna?

Różyczka ściągnęła trep i wytrzepując zeń piasek powiedziała: — My nie jesteśmy biedni, my mamy wolę, ale szkapa jest biedna...

Szkapa ciągnie również otyłego Sylwestra

Dla człowieka zmniejszenie, lub zwiększenie ciężaru stoi w pewnym określonym stosunku do wrażenia. Można np. dorzucić bagażowemu, bez zwrócenia jego uwagi — teczkę, parasol, nieraz walizkę. Można nawet dosiąść go i cwałować na nim pośród tłumu ceniącego tak żartobliwą wytrzymałość człowieka mieśni.

Ale czy można tak postąpić ze szkapą?

Taka wątpliwość wyłoniła się pewnego dnia na karuzeli, kiedy tłum zwalił się na plac.

Zazwyczaj zabawkami przeznaczonymi dla dzieci bawią się dzieci. Tym razem do samochodziku chciał wejść otyły Sylwester hurtownik wraz z żoną.

Cieszyli się oboje, gdy karuzela ruszyła dzwoniąc. Sylwester chciał nawet wypaść.

Patrzyliśmy rozszerzonymi oczyma na pracę szkapy, zaciskaliśmy wargi i pięści, a gdy czerwony z gniewu kataryniarz począł okładać zwierzę styliskiem bicza...

Lecz gdy Różyczka powiedziała — Czy widzisz, szkapa ciągnie również grubego Sylwestra wraz z żoną? — nie było to już prawdą. Wtedy karuzela wlokła już trupa szkapy, zaś właściciel darł włosy złorzecząc żywemu Sylwestrowi.

Sylwester Hurtownik przywodzącym do pokus miłośnikiem, czyli Różyczka nie jest święta

Pułap oddalał się tak monumentalnie, jak tylko mogą się oddalać chmury podbite przez długotrwałe wichry jesienne. Wtedy rzeczułka śniedzi, rozcięta bukami jak mieczem płomienistym, cwałuje z olszynką w rozlew widnokręgu. Nie zawiewa już wtedy koszami z wikliny ani dziką marchwią.

Różyczka pachniała wtedy olejkiem rumiankowym, którego w tym mieście ojcowie używają do zwilżania przewodów usznych, szła brzegiem strumienia i chciała wejść do wody, aby się obmyć. Ale było już zimno, bo chłody ściągały, więc usiadła, aby czytać romans „O hrabinie Gizeli".

Widział to Sylwester hurtownik, wołał zza krzaka, jak wąż kusiciel: — Ja jestem Sylwester, mam na klaśnięcie — sędziów, pończochy, powóz... W moim sadzie już dojrzewają jabłka i winogrono... Przybądź mi ku pomocy, bo cały oplątałem się w ostrokrzew. Nie ubędzie cię przecież, ani też nie jesteś taka święta.

Różyczka zasłoniła sobie twarz romansem „O hrabinie Gizeli", uciekła na drugi brzeg, gdzie już było błoto, i hurtownik, który miał wolę, nie zawalał sobie trzewików.

Stąd wzięło powód owo nienawistne zabójstwo, dokonane przez pana Edwarda na hurtowniku.

— Ja jestem biedny — wołał na całe chmury pan Edward — ona jest biedna.

Sędziowie i Różyczka w kąpieli

Było południe. Sierpień kładł się na brzegach w olbrzymich płachtach skwaru. Nieco wyżej, u sztucznego wodospadu, kąpali się sędziowie. Ich doskonałość pływania nie miała w naszym bajorze tła. Opodal, pośród niebezpieczeństw jazu i zdradliwych skał, rozpościerała się woda spieniona. Tylko śmiałkowie zapuszczali się tam na krowich pęcherzach, lub zamożni tchórze na samochodowych dętkach. Ta spieniona woda stała się narzędziem sędziowskiej kokieterii.

Sędziowie kąpali się przerzucając swe ciała na wznak, nurkując, śmiejąc się i chełpiąc się swymi kolekcjami znaczków i motyli.

Różyczka już była odziana w długą do kostek suknię, piersi miała podpięte wysoko jak damy dyrektoriatu, jej policzki były ogorzałe jak gruszka św. Małgorzaty.

— Jeśli się nas nie boisz — mówili — wstąp do wody; nauczymy cię crawla. Piękny to sposób, nie nauczy cię tak pływać Edward, który odsiaduje paragraf.

Różyczka wstąpiła, chociaż się obawiała i czy pamiętamy owo straszne piękno zdymionej czeluści zachodu i nadrzecznej latryny, na której wiatr sierpniowy grzmi jak na dziurawej waltorni?

GARKUCHNIO NA ZAMOŚCIU

Garkuchnio na zamościu,
woniejąca jak róża sarońska,
woniejąca jak róża stulistna,
jak mirry, kasje, cynamony,
widzę twoje pocięte kozikami odrzwia,
chylę się jak ongi...
Wszyscy: pan Edward, hurtownik, syn młynarski, sędziowie, obwarzankarz
poszli precz.
Córka obwarzankarza
już nie ogląda
kolekcji motyli, znaczków z Gujany,
ani fotografii amerykańskich dziewcząt.
Porzuciła prowincję, jej ciszę, jej małość.
Nie słyszy się jej piskliwego głosiku za płotami nad stawem,
powtarzającego piosnkę pana Edwarda, który zginął w boju:
piosenkę żołnierza, który odszedł jesienią,
piosenkę o skrzynce pełnej marchwi,
marchwi wonniejszej, niż róża sarońska,
niż mirry, kasje, cynamony,
Samuelowych Libanów.

Zygmunt Fijas

Korespondencja

O ŚMIECHU GOGOLA

Do redaktora „Odrodzenia"

Koncepcja p. Tadeusza Brezy, dzięki której powstał jego czarujący i pełen esprit felieton teatralny o „Rewizorze" („Odrodzenie", nr 162), budzi zastrzeżenia ze stanowiska historii literatury.

Breza sugeruje, że „Rewizor", który wywołał w swoim czasie tak silną reakcję w społeczeństwie rosyjskim, jako niesłychany atak satyryczny na niemoralność stosunków panujących w Rosji mikołajowskiej — nie był pisany przez autora z jakimś „poważnym" zamiarem; że był to jeden ze wspaniałych przejawów „czystego humoru", fantastyczna kpina, która nieoczekiwanie dla autora uzyskała o wiele większą wagę, o wiele istotniejsze znaczenie, niż to było zamiarem twórcy. Że Gogol w tym wypadku szczerze podzielał opinię cara o swojej sztuce — jakoby to był świetny żart i nic więcej, coś z dziedziny owego humoru absurdalnego, który zademonstrował tak wspaniale np. w komedii „Ożenek" lub w noweli „Nos". Że dopiero późniejsze losy „Rewizora" w społeczeństwie rosyjskim nadały mu znaczenie wielkiego dzieła krytyki społecznej.

Nie mógłby być decydującym argumentem przeciw tej koncepcji fakt, że Gogol w tradycji krytyki rosyjskiej, począwszy od wielkiego współcześnika Bielińskiego a na najnowszych badaniach uczonych radzieckich kończąc, uchodzi za pisarza o wielkiej świadomości społecznej roli sztuki, za jednego z najgłębszych pisarzy-krytyków swojego społeczeństwa; że wreszcie cała wielka szkoła literacka satyry rosyjskiej (Szczedrin jest najbardziej znanym jej reprezentantem) wzięła początek z twórczości Gogola, w szczególności z jego „Rewizora". Oczywiście, można ryzykować założenie, że to jedna z legend literackich.

Posłuchajmy jednak Gogola. Czy rzeczywiście tak małą wagę przypisywał tej „bombie śmiechu"?

Po wystawieniu „Rewizora" Gogol napisał sztukę-komentarz, „Tieatralnyj razjezd". Są to sceny, w których (w dialogach publiczności, opuszczającej teatr, i końcowym monologu autora) przedstawił reakcję publiczności na swoją sztukę i — własny pogląd na recepcję „Rewizora" przez społeczeństwo. Pogląd bardzo krytyczny, z którego wynika, że autor uważał się za niezrozumianego przez krytykującą lub zaśmiewającą się publiczność. Za niezrozumianego przez nie dorosłe do dzieła społeczeństwo.

Ten bardzo ciekawy dokument jest chyba najlepszym komentarzem do problemu, postawionego przez Brezę: czy w „Rewizorze" talent „poniósł" dalej, niż zamierzał autor?

Oto słowa, które wkłada Gogol w usta „Autora" (nie zdziwi nas ich styl romantyczny — tak przemawiał Gogol, pisarz lat trzydziestych zeszłego stulecia, gdy mówił we własnym imieniu):

„Dziwne: żal mi, że nikt nie spostrzegł uczciwej postaci, która była w mojej sztuce. Tak, była jedna uczciwa, szlachetna postać, która działała w niej cały czas. Tą uczciwą, szlachetną postacią był — *ś m i e c h*... Ten śmiech, który wydobywa się cały z jasnej natury człowieka..., który pogłębia przedmiot, wydobywając na jaw to, co by umknęło wzrokowi niepostrzeżenie, śmiech, bez którego przenikliwej siły człowiek nie uczułby strachu przed pustką i drobiazgowością życia. Rzeczy nędzne i godne pogardy, koło których przechodzi co dzień, nie ukazałyby mu się z tak straszną, karykaturalną siłą i nie zawołałby z dreszczem: „czyż są tacy ludzie?" — podczas gdy sam wie dobrze, że bywają gorsi... Co uważano za puste, może się później okazać pełne wielkiego znaczenia. W głębi chłodnego śmiechu można będzie odnaleźć gorące iskry wiecznej, potężnej miłości. I może kiedyś wszyscy uznają, że... kto często serdecznie i głęboko płacze, ten — na pozór — najwięcej się śmieje".

Tak w swoim czasie romantycznym bronił Gogol *z n a c z e n i a* swego śmiechu. Ale czy wobec tego można uznać „Rewizora" za wspaniałą bombę beztroskiego humoru? Przeczy temu wyraźnie cała, tak konsekwentna twórczość autora „Płaszcza" i „Martwych dusz". Swoją koncepcję humoru oczyszczającego wyłożył Gogol dosyć jednoznacznie, aby nie trzeba było szukać *i n n y c h*, choćby bardzo dowcipnych, wytłumaczeń.

Nie znaczy to bynajmniej, aby Gogol świadomie występował przeciwko *s y s t e m o w i*. — Nie. Ale jego krytyka *o b j a w ó w* tego systemu wypływała z głęboko odczutej przez autora postawy wobec świata i z bolesnej wiedzy — nie była tylko igraszką jego geniuszu komicznego.

Janina Pregerówna
(Warszawa)

Do redaktora „Odrodzenia"

JEST INACZEJ

W numerze 158 „Odrodzenia" we fragmencie pracy o Mickiewiczu pt. „Weimar anno 1829" Mieczysław Jastrun stwierdziwszy znany fakt, że „listy Mickiewicza zastanawiają swoją szczególną prozaicznością i słownictwem niewybrednym", wyprowadza stąd wniosek, że „tylko literaci z gatunku pięknoduchów są zawsze poetyczni".

Uważam, że tego faktu nie można w ten sposób generalizować. Przeciwnie, Mickiewicz jest pod tym względem raczej wyjątkiem, a zresztą znamy tylko część jego listów, ponieważ całą korespondencję erotyczną zniszczył sam lub zniszczyli inni.

Listy Słowackiego należą do puścizny twórczej autora „Kordiana" na równi z poezją. W listach dopiero ujawnia się w pełni talent a nawet geniusz Krasińskiego. Korespondencja Wagnera, to kopalnia piękna poetyckiego i bogactwa myśli. Przykłady można by mnożyć bez końca...

Alina Świderska (Kraków)

NIE CZĘSTOCHOWA, LECZ KALISZ

Do redaktora „Odrodzenia"

W numerze 159 „Odrodzenia" zamieszczono zdjęcie z wystawionej niedawno w Częstochowie sztuki J. D. Dybowskiego „I ty poznasz Marylę". Pod zdjęciem była krótka notatka, informująca, że przedstawienie częstochowskie było prapremierą sztuki.

W imię prawdy pragnę wyjaśnić, że prapremiera sztuki J. T. Dybowskiego „I ty poznasz Marylę" odbyła się 11 października 1947 r. w Teatrze Miejskim im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu, w inscenizacji dyr. E. Chaberskiego z Poznania.

W życiu prowincjonalnego miasta prapremiera nie jest zbyt częstym wydarzeniem, dlatego nie możemy tak łatwo zrezygnować z palmy pierwszeństwa na rzecz Częstochowy, zwłaszcza że chodzi o autora związanego pochodzeniem z ziemią kaliską.

Stanisław Winiecki
dyrektor Teatru Miejskiego im. W. Bogusławskiego w Kaliszu.

ODPOWIEDŹ NA ZARZUTY

Do redaktora „Odrodzenia"

W 162 numerze „Odrodzenia" przeczytałem list p. Jana Koprowskiego z Berlina, prostujący rzekome nieścisłości w mojej korespondencji ze zjazdu pisarzy niemieckich. Ponieważ szereg korespon- [illegible] było przedmiotem poważnych trosk attachatu prasowego Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie, pozwolę sobie krótko odpowiedzieć na zarzuty autora wspomnianego listu:

1. Carl Zuckmayer brał udział w Kongresie Pisarzy Niemieckich i sam z nim na inauguracji Kongresu rozmawiałem. Autor „Kapitana z Koepenick" jeszcze przez miesiąc przebywał w Berlinie, wygłaszając liczne odczyty. Ernst Wiechert przybył na zjazd ze Szwajcarii ostatniego dnia i figurował na liście gości, co łatwo sprawdzić można w sprawozdaniach kongresowych. Wiechert nie mieszka już w Bawarii, ale od czerwca 1947 stale w Zurychu, gdzie przygotowuje zbiorowe wydanie swych książek. Rozmawiałem z nim podczas kongresu PEN-Clubów w Zurychu.

2. Melwynowi Lasky'emu odpowiedział nie tylko Katajew, ale i Gorbatow i Wsiewołod Wiszniewski, o czym łatwo się przekonać z zamieszczonych tekstów przemówień w oficjalnej „Taegliche Rundschau".

Marian Podkowiński (Berlin)

SPROSTOWANIA

Do redaktora „Odrodzenia"

We fragmencie pierwszym „Kwiatów polskich", wydrukowanym w numerze świątecznym „Odrodzenia", przepuszczono wiersz trzeci, brzmiący: „A nocą czyta Słowackiego".

W artykule A. M. Swinarskiego o „Ożenku" Gogola autorem sztuki „Śmierć Tariełkina" nazwany jest Sałtykow - Szczedrin. W rzeczywistości jest nim Suchowo-Kobylin.

Julian Tuwim (Warszawa)

*

Do redaktora „Odrodzenia"

W artykule moim „Saga dramatyczna o Rembrandcie" („Odrodzenie", nr. 160—161) błędnie wydrukowano nazwisko Z. Modrzewski zamiast Z. *Mrożewski*.

Kazimierz Wyka (Kraków)

Do felietonu mojego pt. „Nieco o Wyspiańskim" (por. „Odrodzenie", nr 159) wkradł się błąd, który niniejszym prostuję. Fragmenty „Juliusza II" Wyspiańskiego drukowane były nie w „Przeglądzie Polskim", lecz „Przeglądzie Powszechnym". **kjw**

W najbliższym numerze „Odrodzenia" m. i.:
Jan Kott: **List z Łodzi o teatrze**
Leon Kruczkowski: **Tematy radzieckie**
Czesław Miłosz: **Nad książką czyli cudze chwalicie**

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośba o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, **przełożyć** na następny tydzień.

ŻYCIE JEST PIĘKNE!

Oto wiązanka ogłoszeń, zamieszczonych w pismach polskich w ubiegłym roku, a dowodzących, że życie jest piękne, pełne wdzięku i uroku—i że warto żyć, przyjaciele!

Romantyczne wiersze, listy, życzenia, indywidualnie i dyskretnie stylizuje biuro „Eureka".

Kamieniczkę katolicką, wolne mieszkanie, sklepy, sprzedam.

Fabrykę powozów wydzierżawię, ewentualnie wyjdę za mąż za pana po czterdziestce, posiadającego gotówkę do objęcia.

Obelgę rzuconą na ob. Annę P. w Grabowie z żalem odwołuję. Agnieszka S.

Pokój niekrępujący w nowoczesnym domu potrzebny zaraz dla samotnego, dobrze rutynowanego kawalera.

Zaspokoi pragnienie „Irma". Telefon 47-18.

Student w zamian za pomoc materialną pozna w celu matrymonialnym panią, uroda, wiek obojętny.

Idealowi pragnę zapewnić byt i szczęście. W ofercie podać dokładnie charakterystykę zewnętrzną i wewnętrzną. Oferty panien samodzielnych—niepoważne i nieszczegółowe wrzucę do kosza.

Łagiewnik śląski (pow. Dzierżoniów) nie ma lekarza, gdyż gabinet miejscowego lekarza zajęty jest przez pogromczynię pcheł Cyrkowych, cieszącą się wysokim poparciem b. sekretarza gminnego w Łagiewniku. Wprawdzie sekretarz już siedzi (za szaber), ale pogromczyni dalej okupuje gabinet.

Potrzebny fryzjer męski lub dziewczynka z początkami.

Wysoka, zgrabna, jasna pani, napisz do mnie, jeżeli szukasz wartości nieprzeciętnych.

Pani lat 40 z mieszkaniem pozna pana do lat 50. Dziecko nie wykluczone.

Potrzebuję spólniczkę repatriantkę [illegible] gotówką dla zakupu drugiego konia 5 minut od stacji kolejowej.

Znawca tajemnic ludzkich R. Kamiński daje konkretne wyjaśnienie we wszystkich sprawach życiowych. Nie ma zagadki, której by nie rozwiązał. Stwierdzi przeszłość, teraźniejszość, uwierzysz w przyszłość. Prognozy udzielam na podstawie naukowej i wiedzy nadprzyrodzonej. Jeżeli nie masz zaufania, to sam sobie nie wierzysz.

5 zł. jałmużna za dusze zmarłych na sieroty wojenne. Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie!

Miejska Szkoła Muzyczna im. Franciszka Chopina w Zakopanem (nagłówek afisza).

100 murarzy zatrudni zaraz przedsiębiorstwo budowlane M.B.P. Praca przez całą zimę. Zarobki do 1300 zł. dziennie. (Nadesłał profesor uniwersytetu. Płaca miesięczna: zł. 14.500).

PONIEWCZASIE

W „Głosie Rodziny" (nr 46) ukazało się następujące sprostowanie:

W przepisie na klops po grecku, zamieszczonym w nr. 45, powinno być s z e ś ć żółtek, nie 66.

Za późno, niech was jasne pioruny biją!!!

EGZEKUCJA

Kierownictwo Publicznej Szkoły Powszechnej w Winiarach otrzymało pismo następujące:

Wezwanie płatnicze nr. 10. Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych wzywa ob. Szkoła (...) do wpłacenia w ciągu 7 dni (...) zł. 514. W razie niezapłacenia wymienionej należności nastąpi egzekucja.

Ob. Szkoła zostanie bez głowy. A ob. Powszechny Zakład Ubezpieczeń już jest bez głowy.

PRZYSZŁOŚĆ CIESZYNA

„Rzeczpospolita" w artykule „Uśmiechy i troski żaków cieszyńskich":

Cieszyn byłby wymarzonym miasteczkiem uniwersyteckim. Już teraz 50 proc. mieszkańców chodzi do szkół jako uczniowie albo nauczyciele.

Z czego prosty wniosek, że za kilka lat drugie 50 proc. będzie chodzić do uniwersytetu jako studenci albo profesorowie. I kto biednym cieszynianom będzie szył buty?

ORGAN TYTUŁKOWY

Na odpowiedzialność czytelnika M. L. z Krakowa podajemy wiązankę tytułów z jednego numeru (198) warszawskiego „Wieczoru":

Bojowa trąba Tutankhamena zmąciła święty spokój piramidy — Jej pragnął otrzymał ją i jej 5 dzieci. Sąd go zrozumiał — Rąbnął 70.000 i chciał się powiesić. Ze sznurkiem na szyi poszedł do szpitala — Profesor od dziurek — Bez znajomości języka ale ołówkiem zdobyła sympatię Beja Tunisu, Lady angielska — 300 buldogów urodzi Ursus aby zastąpić amerykańskie chucherka — Najdroższy Domagalski pokazał swój lwi pazur a Lola pozostała bez bielizny — Pociął spodnie żeby wyjąć portfel Cudzy — Nie pomoże blansz i róż kiedy szmalec stary już — O mydło możemy być spokojni chcć są w nim zdechłe świnie — Pod zamkniętymi powiekami stolicy nie tylko szaleją dancingi — Szalet bez drzwi lecz pełen zalet...

Se non è vero, è ben trovato.

NIESPRAWIEDLIWOŚĆ

Z „Kuriera Codziennego" (nr 339):

Podczas pracy przy budowie domu przy pl. Trzech Krzyży belka zgniotła stopę robotnikowi Wiktorowi Iwańskiemu zam. przy ul. Pańskiej 47. Przewieziono go do szpitala Dz. Jezus. Tylko dla optymistów

[illegible] ulicy?

BACZNOŚĆ, BIBLIOFILE!

Leży przed nami książka jedyna w swoim rodzaju — arcykuriozum, smakowity okaz dla kolekcjonera osobliwości introligatorskich. Na szarej kartonowej okładce czytamy:

Klara Jastroch
Life and Work in England and America.
Podręcznik języka angielskiego na II i III rok nauczania.
Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Warszawa 1947.

Otwieramy ów podręcznik języka angielskiego i na karcie tytułowej czytamy:

Inż. B. Orgelbrand
Silniki spalinowe.
Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych.
Warszawa 1946.

Po przeczytaniu 66 stronic fachowej pracy o silnikach spalinowych następuje znowu karta tytułowa:

Inż. B. Orgelbrand
Silniki spalinowe.

Po przestudiowaniu (po raz wtóry) tych samych 66 stronic pracy o silnikach spalinowych znów widzimy kartę tytułową:

Inż. B. Orgelbrand
Silniki spalinowe.

Czytamy po raz trzeci 66 stronic pracy o silnikach spalinowych — potem znów karta tytułowa — znów 66 stronic — i znów to samo... Razem pięć „Silników spalinowych" pod ogólnym tytułem „Life and Work in England and America"... Do książki dołączono luźną kartkę „Errata", zawierającą sprostowanie kilkunastu błędnie wydrukowanych wyrazów angielskich. Ofiarą pięciokrotnych silników spalinowych padł pewien sztubak krakowski, który kupił książkę w jednej z księgarń przy Placu Mariackim.

D E K L A R A C J A

Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia" i zobowiązuję się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł 1.800 rocznie płatnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić).

Moje prawa i obowiązki są mi znane.

Imię i nazwisko ....

Adres ....

(podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem: Warszawa, Daszyńskiego 14, Klub Literacki „Odrodzenia".

Redaktor: KAROL KURYLUK. Adres redakcji: Warszawa, Daszyńskiego 14 tel. 85833 — Redaktor przyjmuje od g. 13 do 14. — Adres administracji: Warszawa, Daszyńskiego 16 pokój nr 23, tel. 85 794 Konto w PKO nr 1.4739.
Drukarnia Nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B 42548 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".